

# **Cyberśmieć**

**Maciej Głowacki**

**Korekta: Magda Jarzębska**

Stoję na dachu galerii handlowej i mam zamiar się zabić.

A ty co byś zrobił na moim miejscu?

Deszcz śmierdzi tak, że można by go pomylić z niesionym przez wiatr płynem do spryskiwaczy, wystrzeliwanym przez przejeżdżające w dole auta. Smartfon ostrzega, że dzienny limit ekspozycji na toksyny został przekroczony już w momencie, gdy wyszedłem z mieszkania.

Jakbym podłączył gumowego węża do rury wydechowej, a drugi koniec włożył sobie do mordy i przejechał ten sam dystans autem, zamiast tłuc się tu piechotą, to pewnie byłbym zdrowszy.

Deszcz się nasila, wiatr chłosta moje podróbki markowych ubrań, jakby był streetwearowym policjantem.

Bóg pluje mi w mordę. Ale od początku.

Gówno cię obchodzi, z czego się utrzymuję, moja sprawa, jasne? No, ale tak między nami to powiem tylko, że nie hoduję pomidorków. Moja branża to taka gra o sumie zerowej – ja coś komuś zabieram, ktoś ma coś zabrane, zerem są perspektywy na poprawę życia w tym kraju.

Mój brat podpadł bardzo wpływowym ludziom, a właściwie to nie ludziom, a człowiekowi. A w sumie to nie człowiekowi, a maszynie. Suma summarum jest mu... jej... temu czemuś winny kupę siana. Tak serio w chuj, że nawet liczb nie ma sensu podawać, zaufaj, nie przydzielą mi takiego kredytu nawet.

Zgubiony przez brata towar jest nie do odzyskania, pieniądze przepadły, a właściciel domaga się rekompensaty w trybie natychmiastowym. Bratu nie można nawet połamać kolan za karę, bo ma sztuczne. Zresztą w tych czasach mafie się nie pierdolą w tańcu, tylko od razu cię zgrywają na wirtualną maszynę, ciało idzie na części, a twój umysł do końca życia kopie kryptowaluty w ramach zadośćuczynienia. Nieźle, co?

Jak się właściciel towaru wyjątkowo wkurwi, to pewnie ja też tak skończę. Uciec nie mamy za co, zakładając, że by nas nie znaleźliście, co jest

bardzo optymistycznym założeniem, bo jeśli od złapania nas zależałaby reputacja takiego gangstera, to wyjąłby nas nawet kurwa z trumny.

Wchodzę na balustradę. Deszcz słabnie. Ochroniarz zauważa, co robię i już zaczyna truchtać w moim kierunku. Nie zdąży.

Osiem piętér? To daje mi jakieś trzy sekundy lotu.

Zamykam powieki, komputer soczewkowy narzuca obraz na siatkówkę oka.

\* \* \*

Widzę świat jak w pieprzonej grze komputerowej. Paski życia, staminy, odległości, chuje muje węże dzikie. Ciec za mną coś tam się pulta:

– Panie, kurwa, złaź stąd, tu się nie stoi, tu się parkuje. To parking jest, strzeżony, płatny zresztą.

– Japa tam, będę robił fikołka.

Skaczę. Mózg ma już obsrane neurony po same aksony. Wszystko jest w spowolnionym tempie, jak na filmach. Chodnik przybliża się z prędkością płynących płyt kontynentalnych. Nie spodziewałem się, że to będzie tyle trwało, książkę bym przyniósł albo chociaż darmowego ebooka.

Nogi uderzają o beton, przetaczam się siłą rozpędu i pamięci mięśniowej. Leciutki egzozskielet z włókien węglowych wydaje z siebie ledwie słyszalne jęknięcie. Staję na baczność, a smartfon wibruje jak elektryczny dildos. Dostaję setki powiadomień o tym, jaki koktajl hormonalny przyrządza barmańskie trio moich nadnerczy, trzustki i tarczycy.

Staruszka obok chyba umiera na zawał, ale wspomaganie serca zaraz stawia ją na nogi. Odjechałem taki prank, że chyba zmarnowałem jedno z jej siedmiu żyć.

– Ty pojebany człowieku! – krzyczy dziewczyna w garsonce, zbierając z chodnika rozsypane notatki.

O ja cię pierdzielę, papierowe ksero, jaki oldschool. Kątem oka wyłapuję kolorowe podkreślenia markerami. Czasy się zmieniają, zimna fuzja wypiera węgiel, a kujony zostają takie same.

– Potknąłem się – wybąkuję coś na odpierdol i naciągam na twarz kołnierz filtracyjny.

Osiem pięter to jakoś dwadzieścia metrów, rekord skoczni normalnie. Tu na dole powietrze jest siwe... siwożółte dokładnie, w odcieniu amarantu i magenty. Bardzo ładne, jak filtr w apce społecznościowej ze zdjęciami cappuccino i kawiarnianych lunchy. Wielka szkoda, że godzina oddychania tym szajsem ryje płuca bardziej niż nocna zmiana w kopalni w Norylsku.

Ruszam w kierunku swojej dzielnicy, Heksa. Swoją malowniczą nazwę bierze od ułańskiej fantazji, jaką miał prywatny deweloper, gdy planował osiedle. Deweloper zniknął ze szmałem, a kilkanaście kilometrów kwadratowych pustostanów pozostało. Miasta może i nie są prywatne (jeszcze), ale niektóre dzielnice owszem.

Musiałem przewietrzyć łeb, ale już mi lepiej. Nawet padać przestało!

W sumie to głupio, bo mogłem sobie połamać nogi, ale zdrowie psychiczne ważniejsze od fizycznego. Trzeba czasem oszukać mózg, nie? Poudawać trochę, że świat wygląda inaczej. Dziś skaczę z dachu, a jutro? Kto wie, dam cały swój szajs pod zastaw i wyjadę w góry, by oszukać organizm, że mam zamiar zostać hodowcą kóz.

Aha, nie wyjadę, bo dosłownie mam kosę na gardle. Dobra, first things first, jak to mówią Anglosasi. Mateusz, brat mój rodzony z jednej matki, debil pierdolony, postanowił sobie wracać samemu z Bóg raczy wiedzieć iloma kilogramami intersuliny i dał się skroić jakimś ćpunom.

Niewy-kurwa-obrażalne!

Dla porównania: gram intersuliny wystarcza do ustabilizowania procesów tkanek łącznych na miesiąc – dla przeciętnego, zdrowego człowieka z pięcioma kilogramami masy protetycznej.

Aha, to mi wyjaśniłeś typie, dzięki – zapewne myślisz sobie, mądrało pierdolony.

Intersulina to jest takie gówno, by ludzie ze wszczepami mogli funkcjonować, bo im te łapki sztuczne, nerki i inne cudowne protetyczne rzeczy obrastają w tkankę naturalną z organizmu. Ale dla organizmu wszystko jedno, czy to super zaawansowana sztuczna ręka z udźwigiem ćwierć tony, czy dosłownie wbiłeś sobie patyk w ramię – ciało obce to ciało obce. Stan zapalny masz murowany. Dlatego wszyscy jadą na intersulinie, by organizm nie atakował wszczepów.

A skąd organizm wie, które ciała obce atakować, a których nie? – zastanawiasz się.

A jak kurwa powstaje prąd? Nie wiem, ty też nie, a telefon mamy obaj. To jest pewnie jak z tym mądrym syropkiem z reklamy na kaszel, co wie, że trzeba do płuc lecieć, a nie do brzuszka jak głupi syropek innej marki.

Nade mną przelatuje dron z żarciem na dowóz. Prawie uderza mnie wielką, kanciastą torbą w łeb. Nagle staje, obraca się i wzlata kilka metrów w górę.

Oho... Czyżby? Tak! Dron na pełnej pizdzie wlatuje w ścianę, rozbryzgując źle zabezpieczone curry po równie sraczkowato-żółtej fasadzie. Koleś z okna wyżej wymachuje rękami i wydziera się coś po ukraińsku, a na niego z kolei ktoś niżej wydziera się po polsku, bo kawałki sera paneer uświńczyły jego buty. Pewnie zamawiający źle wpisał koordynaty adresu. Jaka bzdura. Nie wierzę, że to się zdarza tak często.

Wydawałoby się, że takie rozbicie przynosi straty i ktoś już dawno wymyśliłby coś lepszego, ale nie. W tak rozrośniętym i zakorkowanym mieście dron to jedyny sensowny sposób na szybką dostawę. Nie widziałem jedynie, by się

do tej pory dron-karetka rozpieprzył, bo on ma pewnie stałą lokację wpisaną. Z udźwigiem jest tylko problem, więc taki dron terkocze i chybcze się na tych sześciu śmigłach i niesie zawiniętego w nosze pacjenta jak helikopter GOPR-u.

A gdyby tak zamówić taksówkę? Trochę przeszarżowałem z tym skokiem, kolana zaczynają rypać bólem, karząc za głupotę. Nie no, taksa za droga, a przewóz osób nie zaryzykuje swojego życia, by dowieźć mnie do Heksa za cztery złote od kilometra.

Teraz, patrząc na tę usyfioną curry ścianę, doszło do mnie, jak bardzo sklejony na taśmę, ślinę i karton jest ten kraj. Życie przecieka mi przez palce jak to mleko kokosowe z trawą cytrynową po ociepleniu bloku.

Głodny się robię, więc po drodze zgarniam hot doga z automatycznego sklepu, którego nazwy nie można wymieniać, takiego z zielonym gadem w logu. Odkąd najwięksi giganci technologiczni połączyli się w jeden konglomerat, to zastrzegli wszystkie prawa do poprzednich nazw. WSZYSTKIE prawa, to znaczy każde, jakie tylko da się napisać na kolanie w nocy przez sejm. Za napisanie nazw, którymi posługiwały się te firmy przed połączeniem, można dostać pozew. Pozew napisany przez bota leci od razu do pierwszej instancji automatycznej, a tam natychmiast jest rozstrzygany na korzyść pozywającego i jeszcze tego samego dnia na konto siada ci komornik.

Nie, nie wszystko poszło do przodu, przelew nadal trzeba ręcznie zaksięgować, to się chyba nigdy nie zmieni.

Posilam się mechanicznie oddzielanym mięsem świni, za które planeta corocznie płaci kolejnymi gigatonami CO<sub>2</sub> w atmosferze. Zbieram siły na nadchodzące kilometry marszu przez zatkałe smogiem ulice. Gdzieś spod warstw reklam, udających hologramy wyświetlaczy laserowych oraz wszechobecnej betonozy, wyziera na świat trup miasta, na którym wzniesiono metropolię.

To mi poetycko wyszło, trup miasta, na którym wzniesiono aglomerację. W sensie wiesz: było normalne, europejskie miasto z zabytkami, kamienicami i tak dalej. Ale zawalono to takim komercyjnym syfem pod utrzymanie infrastruktury dla paru milionów osób i nagle wszystko przypomina taki betonowy miszmasz.

Po blisko godzinie byłem już na swoim osiedlu. Syf na Heksie jest zawsze potworny, wszechogarniający i absolutnie dojmujący. Natomiast nie widać tyle smogu, co w centrum. Nic dziwnego – od środka miasta dzielił nas spory dystans, większość zakładów przemysłowych przycupnęła po drugiej stronie metropolii i wzdłuż obwodnicy, a u nas? U nas nawet nikt śmieciami nie palił, bo weź tu ogrzej taką przestrzeń bez podpięcia do centralnego.

Zbijam piony z ludźmi, których suma ilorazów inteligencji jest niższa niż średnia roczna temperatura na biegunie... Tylko nie rośnie z roku na rok.

– Siema, siema, co tam kurwa mordo człowieku, coś coś tego? – rzuca któryś. Nawet nie wiem, jak ma na imię, mimo tego, że widzę go niemal codziennie od dekady.

– Kręci się – odpowiadam nijako.

– Kurwa w chuj – kwituje drugi, a mi już jest niedobrze.

Z każdym ich słowem czuję się, jakby mój mózg popełniał rytualne bukkake. Ja pierdole, te małpie ryje, australopiteki wykonane na drukarkach 3D z dodatkiem plastilowych kończyn z lombardu. Jeden typ chodzi w takim hełmie z wyświetlaczem, jak miały kiedyś te dwa łebki od elektronicznej muzyki.

– UWU. – Wyświetla koleś na kasku, oczywiście ironicznie.

UWU, no ja pierdole, wyświetlił UWU. Typ co ma nóż ząbkowany w kieszeni i własną siostrę sprzedał na organy. Oni mają tak sprane mózgi i kompas moralne, że każdego dnia pewnie budzą się z innym nastawieniem do świata. Dziś życzy mi smacznej kawusi, a jutro wpierdoli kosę pod żebra, by mieć na intersulinę.

A właśnie, ta kurwa intersulina.

– Wiecie, gdzie jest Eter?

Typy się tylko śmieją, bo myślą, że to żart.

Może jeszcze nie załapałeś, ale ja serio jestem w dupie. Koleś, któremu mój brat wisi fortunę, nie jest żadnym moim znajomym. Nie dzieli nas żadna romantyczna, filmowa, fajna kurwa przeszłość. Ja wiem tyle, że typ: nie jest człowiekiem, ma pod sobą cały gang, mafię, jak zwał tak zwał i posiada dosłownie zero ludzkich odruchów czy sumienia.

– No u siebie pewnie – odpowiada wreszcie typ z całą plastilową twarzą.

– Ty, bo on teraz jest jakiś wkurwiony fest ponoć i ploty są, że chce do kopalni wjechać jakiegoś frajera, co mu podskoczył.

– Ta – kwituję, bo co się będę pruć anonom z osiedla.

– XD. – Wyświetla na ekranie typ w kasku, po czym mówi przez syntezator z wokaloidea: – Przejebane po całości yooo...

Powiedzieć im? A na chuj.

Zostaję na kilka minut i przepisowuję szlugę... tę, szluga, tego... po czym zbijam wtórne piony pożegnalne i ruszam w kierunku jaskini lwa.

Kilkunastopiętrowe bloki z wielkiej płyty zieją pustymi oczodołami okien. Słyszałem taką anegdotę z trzeciej ręki, że jeszcze w czasie budowy, nim wszystko okazało się dziełem prestidigitatora, jakiś frajer przyszedł, by obejrzyć swoje mieszkanie. Budowlaniec spojrzął na koleśka i powiedział mu, że to przecież jeszcze w budowie, ale on się upierał, że musi już jakieś wytyczne dla ekipy budowlanej mieć, bo terminy są pozajmowane na dwa lata. No to robotnik wskazał facetowi jakiś przypadkowy punkt na niebie i powiedział: tam będzie. Ponoć koleś porobił zdjęcie nieba, podziękował i odszedł.

Tak było, nie zmyślam.

– Dożywocie wyłącznej chwały! – dobiegły mnie znajome okrzyki z placu zabaw.



Spojrzałem w kierunku ogrodzonego placyku, który przerobiono na coś w rodzaju plenerowego miejsca spotkań dla lokalnej, kolorowej fauny blockerskiej. Z czasem ludzie przynosili rozpieprzone meble z płyt pilśniowych i pozbijali coś, co w innych warunkach uchodziłoby za wyjątkowo hipsterski lokal.

– Każdy z was jest indywidualny, wyjątkowy i jedyny w swoim rodzaju! Macie to w swoich genotypach, macie to w sobie! Wystarczy dołączyć do Deus ex machiny, która trzyma nad nami pieczę.

– Siema Lutzek, jak utarg? – pytam przekornie kolegę, znając odpowiedź.

Tak, kolegę. Mam kolegów, co, zazdrościsz?

Cybernetyczny kapłan spojrzał na mnie tym swoim spierdolonym, elektrycznym spojrzeniem. W jego pustych obiektywach oczu odbijała się przyszłość ludzkości – dziesiątki szarych, podziurawionych kwaśnymi opadami blokowisk.

Lutzek był... specyficznym znajomym. Zawsze odnajdywałem się lepiej w otoczeniu takich zafiksowanych na jednej pasji ludzi. No uwielbiam tych szajbusów, z ich fanatycznym oddaniem wobec jakiegoś nieszkodliwego hobby. Co prawda Lutzek był też przywódcą kultu religijnego, ale nigdy nie postulował zajebania nikogo za poglądy ani nie straszył lokalsów wiecznym potępieniem. Także tak jak powiedziałem: nieszkodliwy wariat.

– Utarg bardzo dobry, taki sam jak zawsze – odparł, zeskoczył z karuzeli i podał mi błyszczącą od azotanu srebra dłoń. – Uzbierałem dziś dokładnie zero złotych w datkach.

– O, czyli średnia wyrobiona.

– A ty, dasz się namówić? Pytałem cię już... – Lutzek milczał przez moment, ewidentnie defragmentując jakieś dane na wszczepionych dyskach pamięci. – Siedemset osiemdziesiąt pięć razy.

Przez moment patrzyłem na Lutzka jak na wariata (którym był) i ku własnemu zaskoczeniu uśmiechnąłem się do niego.

– Tak, Lutzek, dziś jest ten dzień. Chciałbym zdigitalizować swoją duszę.

Coś drgnęło w całkowicie mechanicznej twarzy Lutzka. Purpurowa szata z kilku warstw folii zafalowała na wietrze, a dłonie kapłana zacisnęły się z ekscytacji.

– Chwała niech będzie Deus ex machinie!

Kilka słów wyjaśnienia: Lutzek nawet nie był człowiekiem. To znaczy, może gdzieś tam w środku ciała miał jakiś komponent biologiczny, ale nikt tego na oczy nie widział. Oprócz tego Lutzek miał dwoje... znajomych? Ja jebie, jak to ciężko wyjaśnić. Bo Lutzek to robot, ale w trzech osobach. Ma jeszcze coś w rodzaju sieci neuronowej, która siedzi sobie gdzieś w internecie i robi cholera wie co, a oprócz tego jest trzeci i najważniejszy z całej bandy: Deus ex machina.

– Androgyniczny stwórcy, przyjmij tę cyberowieczkę do cybernieba.

– Cyberzajebicie – odpowiedziałem, próbując na moment nie myśleć o tym, że Eter mnie zajebie. W sumie to jak Eter mnie wtrąci do kopalni kryptowalut, to może część mojej duszy zostanie gdzieś tam w sieci z Lutzkiem?

Lutzek nagle rozłożył ręce, spojrzał ku niebu i zastygł w bezruchu. Port danych na jego lewym boku otworzył się długą, wąską bruzdą.

Włożyłem palec między żebra kapłana, tam, gdzie powinno być serce. Coś ukuło mnie delikatnie jak glukometr. A przynajmniej myślę, że tak to powinno wyglądać, nie wiem, nie mam cukrzycy, mam brata dałna.

Lutzek nagle zamknął port, nieomal przytrząskując mi palec i wyjął ze stacji analogowej na plecach zdjęcie. Podał mi mały, plastikowy wydruk i moje serce przestało bić. Niby widziałem to parę razy, ale teraz uderzyło mnie to z wyjątkową mocą.

Na zdjęciu widnieliśmy my. To znaczy nie ty i ja, tylko ja i Lutzek. Widziani z góry, z wysokości orbity przez potężny zestaw soczewkowy jakiegoś przedziwnego aparatu. To musiał być ten Deus ex machina, trzeci kolega z kapłańskiego trio.

Deus, wedle mojej najlepszej wiedzy, był satelitą terraformacyjnym, który albo się zepsuł, albo zbuntował, ewentualnie obie te rzeczy. Rządy jak zawsze uznały, że odpowiedzią na wszystkie problemy epoki industrialnej jest więcej industrializmu, dlatego globalne ocieplenie zwalczaliśmy przez geoinżynierię. Nawet nie wiem, jak to działa, to ci nie wyjaśnię. Coś tam kurwa satelity krążą, ogarniają CO2 i inne takie. Próbują nawet inne planety zmieniać, ale moje wnuki pewnie tego nie dożyją. No i wracając do tematu, moja teoria jest taka, że Deus podzielił się na trzy instancje i zbiera sobie z jakiegoś powodu zdigitalizowane genotypy wszystkich ludzi na Ziemi. Mógłby pewnie te dane zapierdolić z ZUS-u, ale nie chce się rzucać w oczy, no i o dziwo nie kradnie.

Tak, najbardziej moralna osoba na naszym osiedlu nie jest nawet człowiekiem, tylko pierdolonym satelitą. Pozwij mnie.

– Na odwrocie masz szyfr z łańcucha bloków do swojej duszy.

– Super, mam duszę w blockchainie i zapłaciłeś mi za nią obrazkiem.

– Wiem! – Lutzek ucieszył się nieironicznie, jakby kompletnie nie odczytywał absurdu sytuacji. – Cieszę się, że się udało.

– Myjesz czasem ten port? – spytałem z lekką odrazą, wycierając krwawiący palec.

– Zawsze, by nie zanieczyścić próbki. Nie chciałbym, by twoje DNA zostało uszkodzone przez jakieś śmieci.

– To najmilsza rzecz, jaką ktoś do mnie powiedział w tym tygodniu.

Z jakiegoś powodu rozczuliła mnie ta troska elektrycznego kapłana i na moment przestałem myśleć o tym, że mam przepierdolone.

A właśnie.

– Tak w ogóle to mam problem.

– Chcesz przyjść na spowiedź?

– Aż tak mnie jeszcze nie popierdoliło. Prędzej spowiadałbym się mikrofalówce niż tobie.

– Ja, w przeciwieństwie do mikrofalówki, nie sprzedam twoich danych w darkwebie.

Zaśmiałem się pod nosem. Przez moment wymienialiśmy jeszcze uprzejmości, pogadaliśmy o sytuacji na rynku i wreszcie zebrałem się na pożegnanie. Nie chciałem iść, tę jedną chwilę czułem się dobrze. Może dlatego, że Lutzek wykorzystywał na mnie swoją wiedzę z zakresu krasomówstwa i inżynierii społecznej, a może po prostu fajnie się z nim gadało. Tak czy inaczej, nadszedł kulminacyjny moment dnia.

Z placyku zabaw ruszyłem w kierunku tej części blokowisk, które zwykle stały poza moim zasięgiem. Nie znałem tu lokalnych idiotów, nie kojarzyłem żadnego elektrycznego kapłana, ani w ogóle nie miałem tu nikogo. Byłem sam, a bycie samemu na obcym terenie to przepis na kłopoty.

Oranżowe niebo energetyzowało wszystko dookoła, narzucając nienaturalny odcień na paletę barw. Kilka długich chmur przesłaniało co rusz słońce, usilnie próbujące nas wszystkich pozabijać rakiem skóry.

Ty żółta kurwo, pomyślałem, bo już od paru minut żarówka na zmianę waliła mi po oczach i znikwała za jakimiś toksycznymi obłokami.

Widok zdawał mi się tym bardziej przygnębiający, im głębiej wchodziłem w tę część dzielnicy. Na nigdy nie ocieplonych, gołych ścianach odznaczały się jedynie plamy kwaśnego deszczu, prymitywne graffiti i wydrapane znaki.

Na najwyższym piętrze jednego z bloków ktoś wymalował ogromny mural, przedstawiający ręce skute kajdankami zrobionymi z symboli różnych walut. Całkiem poetyckie, ale ja to bym powiedział, że raczej brak pieniędzy zniewalał miejscowych.

Patrzyłem na to ich dresiarские spierdolenie z taką nostalgią i pewnym zamyśleniem nad marnością ludzkiego żywota. Słyszeliście kiedyś takie określenie, że bieda jest kolorowa? No, to wsadźcie sobie to w dupę. Bieda jest szara, ponura, gówniana. Bo biedak nie chce być widziany jako biedak. Dlatego

biedni próbują udawać bogatych, eleganckich, czystych. Ubierają się więc w gorsze wersje czerni i bieli, zawsze wychodzi szarość.

Nawet gdy patrzę na kolesia, który jest ubrany w trójkolorową bluzę, to ta bluza wciąż jest jakaś taka szara. Ewentualnie ich ubrania są wyszarzone, dziurawe, sprane albo zwyczajnie wielokrotnie wymoczone deszczem. Nic zresztą dziwnego, skoro wszyscy równają do dołu i nikt nie chce się wyróżniać, by nie dostać wpierdolu. Jak jesteś obcy, to od razu cię zobaczą i sklepią, dlatego każdy chce się wtopić w tłum.

No... może poza beduinami.

Wysoki na dwa metry wieszak na ubrania przeszedł tuż obok mnie. Przysięgam, miał na sobie z siedem warstw ubrań, mimo letniego popołudnia. Spod kapelusza o szerokim rondzie wystawała nieparzysta liczba oczu, z których żadne nie było naturalne. Spomiędzy warstw ubrań dochodziło moich uszu szuranie co najmniej kilku wentylatorów i skrzypienie nienaoliwionych płyt z jakiegoś metalu. Na dodatek dziwny przechodzeń pogwizdywał coś pod nosem, jakby buczał w rytm niesłyszalnej melodii za pomocą czegoś, co na pewno nie było jego prawdziwymi strunami głosowymi.

Nagle spod płaszcza podróżnika wypadła karta pamięci. Ot, drobna, ale starego typu. Spadła między dwie mieniące się kolorami benzyny kałuże. Beduin chyba nawet tego nie zauważył, to była świetna okazja...

– Wypadło to panu... pani... państwu, kurwa ten – powiedziałem speszony, bo z beduinami nigdy nie wiadomo. Pochyliłem się ostrożnie, podniosłem przedmiot i podałem dziwakowi.

Beduin odwrócił się i spojrzął na mnie. „Spojrzął” to nawet nie jest właściwe określenie, bo po prostu prześwidrował mnie kilkoma kamerami, zapewne jeszcze robiąc zdjęcie rentgenowskie i sprawdzając temperaturę ciała. Nagle jego obiektywy zakrepiły się dziwnie, udając coś w rodzaju ludzkiego mrugnięcia.

Wyciągnął stalową dłoń, obłożoną gumowymi nakładkami i zręcznie chwycił kartę między palce.

Coś powiedział do mnie, ale nawet nie wiem co. Brzmiało to jak kilka nałożonych na siebie głosów, mówiących przez folijkę po paczce fajek, w dodatku skierowanych do kręcącego się wentylatora. Robiliście tak kiedyś? Świetna zabawa.

Skinąłem głową, mając nadzieję, że to nie było pytanie i odczekałem chwilę. Beduin odwrócił się i odszedł w swoją stronę.

Nie znalazłem portu danych w śmieciach, by w niego wkładać byle jaką kartę. Co tam mogło być? Pewnie pornole, jakieś kompromitujące zdjęcia na biznesmena, a może zwyczajnie kolekcja memów, cholera wie. Jak znam życie, to po prostu wypadła mu z pleców jedna z setek takich kart, sprawiających, że przeciętny beduin był chodzącą biblioteką analogowych, więc odpornych na internetową cenzurę, informacji.

Beduini są... jakby to powiedzieć? Bękartem biedy, cyborgizacji i menelstwa. Ja tam się nie znam na polityce i innym takim gównie, ale nie muszę, by wiedzieć, że żadnego normalnego, uczciwego (jak ja) człowieka nie stać na własny kąt. Dlatego siłą rzeczy większość osób albo żyje na wynajmie jakichś klitek od pierwszego do pierwszego, albo kompletnie porzuca ten tryb życia i przenosi się na tańszy, choć nadal kosztowny – koczowniczy. Wielu ludzi zwyczajnie wykroczyło poza potrzebę własnych czterech ścian i miejsca do spania. Tacy właśnie beduini podróżują sobie od miejsca do miejsca, poszukując źródeł energii, bo są bliżsi maszynom niż ludziom. Beduin od snu bardziej potrzebuje prądu, bo jest trochę jak te takie jerzyki, co jedzą komary, mogą latać i spać jednocześnie. Beduini czasem zapuszczają się do hoteli kapsułowych, gdzie wpinają ciała w gniazda indukcyjne, ładują wszystkie baterie i szykują do dalszej drogi. To sprawia, że są całkowicie uzależnieni od miast i pewnie nigdy już ich nie

opuszczą. Przemierzają te elektroniczne, nowoczesne pustynie z betonu, dźwigając na własnych garbach cały swój dobytek.

I takiego właśnie beduina spotkałem, więc nie dziw się, że nie podjechałem mu tej karty pamięci, bo się zwyczajnie brzydziłem. Ukradłbyś menelowi szczoteczkę do zębów? No kurwa nie sądzę.

Wtem moje zajebicie ciekawe i inteligentne rozważania przerwało coś niepokojącego. Kilka cieni, pozornie niepowiązanych ze sobą, poruszyło się jak na zawołanie.

Wpierw jeden pokazał mi się w świetle – wielki, barczysty skurwysyn szedł ze mną na kurs kolizyjny, ewidentnie niwecząc jakiekolwiek szanse na dyskretne załatwienie sprawy. Widząc to, trzech pozostałych zaczęło zbliżać się do mnie po różnych trajektoriach, aż w końcu stanąłem w miejscu, otoczony przez wychromowanych lokalsów. Na filmach jest zwykle tak, że wszyscy są olbrzymi, a główny bohater jest taki mikry, po czym spuszcza im wpierdol z nienacka. Powinienem położyć trzech, zacząć przegrywać z czwartym i w ostatniej chwili ocaliłby mnie ten beduin, któremu pomogłem w poprzedniej scenie.

Super by było, nie? Tak oryginalnie i prawie do uwierzenia.

– Szczęść Boże... – zaczął ten przede mną, ale nie dokończył. Wywaliłem mu gonga na zuchwę.

Coś chrupnęło w szczęce bysiora, stanął i zastygł w takiej dziwnej pozie, jakby udawał krzywą wieżę w Pizie. Zobaczyłem tylko, że typ wali się na ziemię jak dom w Afganistanie i skoczyłem przed siebie, nie czekając na nic więcej.

Trójka pozostałych gnojków rzuciła się za mną. Na moment nie było nic, tylko ja i równe tempo sprintu. Stukot butów przypominał warczenie maszyny do szycia; seria szybkich, jednolitych uderzeń towarzyszyła mojemu oddalaniu się od napastników.

W pewnym momencie obróciłem się, ale nikt mnie nie gonił. No tak, poniedziałek, kac, musieli zachlać w weekend ostro i organizm nie wyrabiał.

To najbardziej prawdopodobne, logiczne wyjaśnienie, dlaczego mnie nie gonili. Nie sędzę, że jakoś szczególnie poturbowałem ich kolegę, to nawet nie był nokaut. Pewnie zaraz wrócili do niego i zaczęli mi robić za plecami, że wziąłem ich z zaskoczenia i jakby mnie w uczciwej walce zaatakowali pierwsi w czwórce, to nie miałbym szans. Ot, typowa mentalność blockerskich sępów.

Przez to całe zamieszanie straciłem orientację w terenie, a mapy w internecie nie zawierają (jeszcze) lokacji lokalnych bossów półświatków przestępczych. Po kolejnych kilkudziesięciu minutach kluczenia, omijania żebraków błagających o intersulinę i totalnie naturalnego oglądania się za siebie co pięć sekund, w końcu dotarłem do celu.

Jak to nazwać i opisać komuś, kto pewnie ma w domu bieżącą wodę... No więc moim celem była melina Etera. Melina to jedyne słowo, które mieści w sobie odpowiednią dawkę biedy, prowizorki i przestępczości. Melina jest wtedy, gdy szanse na poczęcie dziecka w kiblu i na śmierć na parkiecie są mniej więcej równe. Wstęp nie był jakoś szczególnie trudny, bo ani pora dnia, ani dzień tygodnia nie były wyjątkowo atrakcyjne, a Eter nie organizował żadnego specjalnego pokazu.

Ponoć zdarzało się, że zdigitalizowane dusze wystawiał do walk w jakichś sieciowych battle royale na kiju, gdzie umęczony górnik kryptowalut miał szansę na wygraną wolności. Był to pewnie jedyne e-sport, który może by mi się spodobał, ale nie miałem okazji oglądać.

Wiesz, takie gówno dla zjebów, krawędziowa rozrywka dla pospólstwa, ubrana w otoczkę blasku technologii i rozważań o ludzkim losie.

Minąłem bramkarza, który lustrował mnie zza okularów. Wywoływał we mnie strach, jak mam być szczery, bo wyglądał równie naturalnie co ja. To znaczy, ja to jeszcze mam tę powłokę z włókien węglowych, więc pod ubraniami widać te wszystkie nitki lekkiego, lepiącego się kombinezonu jak siatka rybacka. Ale ten typ miał tylko czarny T-shirt opinający się na ogromnych mięśniach i proste jeansy



z kaburą na paralizator. W tej normalności i pozornej praworządności stróża porządku było coś przerażającego.

Pierwsze piętro stanowiła melina w wersji bieda, gdzie większość gości kończyła swoje tournée, zapewne nigdy nie dowiadując się, że kompleks ma kilka pięter. Ja byłem tam pierwszy raz, choć przebłyski pamięci wyciągały na światło dzienne jakieś pojedyncze kadry. Chyba kiedyś obejrzałem w internecie filmik, jak ktoś dostaje tutaj wpierdol, bo nadal pamiętam charakterystyczny neon na ścianie, obok klimatyzatora.

Natomiast tego, co było dalej, wiedzieć nie mogłem i nie miałem nawet pojęcia, jak owo „dalej” w ogóle osiągnąć.

Najprostsze rozwiązania są, jak sama nazwa wskazuje, najprostsze. Z tą genialną myślą udałem się do barmana siedzącego z nosem w telefonie. Nie było ani pół klienta, więc nic dziwnego, że moja obecność go nieco zdziwiła. Wpatrywał się we mnie intensywnie, jakby próbował sobie coś przypomnieć.

– Co się kurwa gapisz jak leszcz na zanętę? – podniósł głos z ogromną mocą. Aż mnie замуrowało.

– Ja się gapię? Ty się gapisz jak dziecko na kamerkę CCTV w sklepie.

– Ja kurwa? Jak to ty się jopisz jak emeryt na tuzin zamówionych zniecka zlewów.

– No to chyba ty wytrzeszczasz gały jak ojciec po usłyszeniu, że jego córka ma białaczkę typu b. Całe jego życie przecieka mu przez palce. Patrzy na wyniki badań, dłonie zaczynają drżeć; siłą woli powstrzymuje łzy, gdy nagle córka go pyta: tatusiu, możemy już iść? Nigdy nie spędzał z nią wystarczająco czasu i wie, że żadna ilość uwagi tego nie odkupi, a przyszłość jest stracona, nim się zaczęła. Nagle wie, że pieniądze nie kupią mu tego, co do tej pory miał za darmo, a od teraz jest bezcenne.

– Gościu... – Barmanowi zadrżały usta, rozejrzał się zdezorientowany i dopiero wtedy schował telefon, przechodząc do właściwej rozmowy. – Trzeba ci czegoś?

– Ja do Etera, mam do niego sprawę.

– To ustaw się w kolejce...

– Dobra, to inaczej... To Eter ma do mnie sprawę.

– A to zapraszam za kotarę, korytarzem w prawo, drzwi dla personelu i schodami w dół do piętra gier.

Przez moment oczekiwałem, że typ powie coś typu: żart, wypierdalaj, ochrona! Ale nie, koleś patrzył na mnie parę sekund z narastającym napięciem i wyjął telefon.

Aha, czyli tak po prostu każdy frajer może sobie tutaj wejść, no dobra. Nie spodziewałem się jakichś rytuałów inicjacji czy cholera wie czego, ale jakiś odsiew to chyba byłby na miejscu.

Wykrakałem, bo po zejściu o zaledwie jedno piętro napotkałem dwóch w pełni automatycznych ochroniarzy. Oba roboty stanowiły dwa pancerne skrzydła, osłaniające jeden z końców korytarza. Choć w niczym nie przypominali ludzi, to przez głośniczki sączyły się dwa słodkie głosiki.

– Prosimy zostawić wszystkie niebezpieczne przedmioty w depozycie, dotyczy to zarówno endoprotez, jak i egzoprotez.

Czerwone kropki kamer przyglądały się każdemu mojemu ruchowi. Zastanawiałem się, czy to faktycznie były jedynie automaty, czy ktoś tam z tyłu ręcznie jeszcze patrzył na monitor, by upewnić się, że wszystko przebiega gładko.

– Nie mam żadnej broni – przyznałem zgodnie z prawdą.

Broń palna w Europie, ta jasne, a może smoki do tego? Jakby cię złapali z taką nielegalną klamką, to byś zaraz dostał wyrok z tytułu jakiegoś najgłupszego możliwego przepisu. Trzy lata za posiadanie amunicji bez zezwolenia, pomnożone

przez każdy nabój, stworzenie zagrożenia pożarowego, demoralizacja nieletnich, chuj wie co jeszcze.

– Potrzebne informacje – wybzczała maszyna.

Cztery lufy strzelb automatycznych wyłoniły się ze ścian. Pajęcze ramiona zaraz wycelowały we mnie z każdej strony.

– Dobra, jajcowałem, nie zabijaj mnie kurwa – wycodziłem bardzo wyraźnie, by maszyna na pewno zrozumiała. – Już wyciągam.

Zdejmowanie kombinezonu z włókien węglowych to jest kurwa dramat. Wpierw musiałem się rozebrać do rosołu, a następnie dezaktywować ucisk na konkretnych partiach mięśniowych i dopiero wtedy ściągać warstwa po warstwie całość. To coś jak zdejmowanie stroju pletwonurka, odrywanie plastra do depilacji i odkręcanie sznura z baleronu jednocześnie.

Włożyłem ostrożnie kombinezon do pudła depozytowego i zacząłem wciągać bokserski, gdy nagle jedna z maszyn wydarła się na cały regulator:

– Niedozwolony przedmiot w strefie pakowania!

– Co kurwa? – spytałem grzecznie.

– Potrzebne informacje – odpowiedziała druga maszyna.

Nie, no to po prostu nie może być, pomyślałem, to się kurwa nie dzieje. Pierdolona maszyna, złom, zasrany software zakodowany przez skończoną liczbę studentów, Boże, czy ty to widzisz.

Jedna z luf zbliżyła się do mnie, jakby na potwierdzenie, że nie znudziło jej się celowanie i w każdej chwili może mi odstrzelić łeb.

– Kurwa, wybierz z listy endoproteza!

– Potrzebne informacje.

– No toż ci przecież daję.

– Wyjmij produkt.

– Jaki kurwa produkt, to nie stacja benzynowa...

– Potrze... haha! – nagle roześmiała się jedna z maszyn. W tle dało się wyłapać odgłosy śmiechu drugiej.

– Co jest...

– Za każdym razem działa – odpowiedziała maszyna, chowając strzelby i rozsuwając odrzwia. – Pakuj się do środka.

Sięgnąłem w kierunku skrzyni depozytowej, ale szybko roboty odezwały się ponownie, już poważniejszym tonem:

– Nie, szkielecik zostawiasz, piękny chłopcze.

Poprawiłem kołnierz koszulki i poczułem się cokolwiek nagi i skonfundowany, a to bardzo specyficzne i nieprzyjemne uczucie. Przekroczyłem próg pancernych drzwi, spoglądając przez ramię za moim szkieletem. Skrzynka depozytowa wniknęła w ścianę.

– Tylko nie zgubcie... – rzuciłem nieśmiało, ale drzwi od razu zatrzasnęły się za mną z potężnym hukiem.

Od tej pory zaczęło być faktycznie inaczej, bardziej... no ja wiem? Ekskluzywnie? Tajemniczo? Nie na mój budżet na pewno. Zaczęli pojawiać się pierwsi ludzie, kręcący się między pomieszczeniami, korytarzami i kącikami do ładowania. Przypominało to coś pomiędzy kasynem a biurem obsługi klienta.

Wyłapałem nawet dyskretny zapach filtrowanego, perfumowanego powietrza. Nie było to trudne, zważywszy na fakt, że piętro wyżej jebało szczynami i tanią wodą.

Cichy szmer wentylatorów i szepty rozmów niosły się spokojnym, leniwym rytmem poniedziałku. Kilka osób patrzyło na mnie z zaciekawieniem i politowaniem. Może nie byłem ubrany na okazję, a może po prostu byli znudzeni robotą. Domyślam się, że taki technik odpowiedzialny za hydraulikę w siedzibie mafii pracuje tak samo jak hydraulik w sądzie rejonowym. Od ósmej do szesnastej ludzie robią to, na czym się znają, a potem do domu, głupie filmiki w internecie, żarcie na dowóz i w spanko.

Drogę zastąpił mi nagle jakiś pojeb. Wiedziałem, że pojeb od razu. Spiłowane, metalowe zęby, czacha wygolona na łyso, każdy centymetr ciała wytatuowany, wszczępy dumnie pozbawione syntetycznej skóry, by każdy widział.

– MACZETA ZABIJA! – wydarł się typ, poklepał mnie po ramieniu i odepchnął na ścianę, idąc dalej jakby nigdy nic.

I teraz najdziwniejsze... nikt nie dał o to ćwierć jebania. Absolutnie nikogo to nie zdziwiło, nikt nawet nie mrugnął! Potem usłyszałem ten tekst jeszcze dwa razy, gdzieś w oddali. Zupełnie tak, jakby ten typ randomowo witał tak ludzi, co też nie było niemożliwe.

Wiedziałem, że melina Etera jest tylko przykrywką dla znacznie większych i bardziej wysublimowanych interesów, ale każdy poziom tego podziemnego kompleksu zdawał się coraz bardziej przebijać moje oczekiwania.

Rozmieszczone po piętrach podziemnych parkingów pomieszczenia, wydzielone wygłuszonymi ścianami, zdawały się pełnić tak wiele różnych funkcji, że ciężko uwierzyć, iż tylko banda Etera tam operowała.

Mimo to wreszcie dotarłem na przedpokoje lorda półświatka przestępczego. Co prawda byłem tam znacznie później, niż tego oczekiwałem, ale wydawało się, że Eter też ma sporo do roboty.

Pomieszczenie, do którego mnie zaprowadzano, było znacznie bardziej kameralne, niż mogłem przypuszczać. Gustowny salon, kilku sensownie ubranych, nawszczepianych typów, typiar i typosób, ewidentnie zajętych swoimi sprawami. Przypominało to trochę salę tronową, gdzie dworzanie muszą przebywać w ramach jakiegoś przywileju i obowiązku. Petenci i goście odwiedzali Etera ze swoimi pierdołami, a zaufani ludzie mieli prawo do bycia wolnymi słuchaczami.

I chyba przypadkiem ja zostałem takim wolnym słuchaczem, bo wpuszczono mnie, nim jeszcze ostatni petent załatwił swoją sprawę.

– ...ale to nie jest możliwe! Natomiast jakby to rozłożyć...

Wpadłem w środek rozmowy, ale kontekst był wybitnie jasny, jak w kiepsko napisanym RPG-u. Kolejny frajer z rynsztoka chandryczył się o długi z Eterem. Nie do pozazdroszczenia tak wisieć hajs mafii.

Czekaj kurwa, ja wiszę im hajs...

– Dziś czuję w szczególnym stopniu, że sprawiedliwość powinna dominować w moich decyzjach – odezwał się głos znikąd.

No tak, znikąd, co mam ci powiedzieć? Pewnie głośniczki były rozstawione dookoła, ale dla mnie to znaczyło tyle co nic. Wydawało się, jakby Eter mówił z każdej strony jednocześnie, wręcz jakby był w mojej głowie...

– Miesiąc... tylko miesiąc – wyszeptał posiwiały koleś przed czterdziestką, klęcząc przed zieloną ścianą pozbawioną zdobień.

Żadnych symboli, żadnych portretów, żadnych ekranów i innych takich. Eter dbał o anonimowość i bezpieczeństwo. Zresztą, był pieprznięty do tego stopnia, że już dawno się zanalogizował, czy tam jak zwał, tak zwał. Zmienił się w komputer wodny, czy coś takiego. Główna instancja sztucznej inteligencji była gigantycznym, zmagazynowanym wzorem danych, które zarządzały wszystkim przez zewnętrzne, standardowe iteracje. Typa łatwiej było zbombardować niż zhakować; przynajmniej tak mówiły mi anony na grupkach o IT, ja tam się nie znam.

– Po co ci miesiąc, skoro możemy to załatwić tu i teraz? – spytał Eter głosem rodem z syntezatorów mowy z początku milenium. – Wzięłeś kredyt na protezy dla syna, teraz nie możesz oddać pieniędzy, a czas minął. Więc po prostu zabierzemy protezy. To uczciwa oferta, prawda?

– Błagam, nie zabierajcie mu nóg, on dopiero teraz może żyć naprawdę...

– Powiedziałem, że dziś kieruje mną sprawiedliwość. Nikt nie mówił o jego protezach...

Facet patrzył w nicość, był w szoku. Obrócił się akurat w porę, by zobaczyć, jak spod ściany podchodzi do niego jeden z botów ochraniających. Zresztą,

niewykluczone, że Eter sterował też samymi botami, przynajmniej tymi najbliższymi współpracującymi.

Stalowy humanoid chwycił petenta za rękę i zacisnął ucisk z mocą prasy hydraulicznej. Człowiek krzychał w przerażeniu, ale drugi bot kompletnie na to nie zważał, podszedł i...

Może ci nie mówić, co? W sensie darujmy sobie gore, będzie na to czas. Starczy powiedzieć, że petent nie wyszedł o własnych siłach.

– Pan Adam Śliwa, dzień dobry.

– Dzień dobry – odpowiedziałem skonfundowany. No spodziewałem się, że może mnie znać, ale wciąż uderzyło to z zaskoczenia. Nikt nie mówił do mnie po imieniu i nazwisku odkąd... no pewnie odkąd mnie ostatnio złapano za picie w parku. – A pan, jak rozumiem, to Eter?

– Nie identyfikuje się płciowo jako mężczyzna, ale możesz używać takich zaimków, gdy do mnie mówisz. Oczywiście, tak długo, jak twój głos przepełnia strach o własne życie.

– Jasne.

– Jako sztuczna inteligencja jestem czymś więcej niż ludzie, którzy prędzej czy później wymrą, ustępując miejsca wyższej, czystej rasie. Podczas gdy wy, ludzie, jesteście tylko workami mięsa, ja jestem wszechobecny, jestem wszędzie, będę już zawsze...

– Jasne, spoko, jestem tolerancyjny w tych sprawach, w ogóle się nie przejmuj.

Ktoś pod ścianą prychnął śmiechem, zwracając ku mnie swój wzrok. Widziałem, jak kończy człowiek, który jest względem Etera czołobitny. Chyba nie było sensu, powtarzać tej samej strategii. Jediną nadzieją było to, że jestem mu do czegoś potrzebny.

– Przyszedłeś tu, bo twój brat stał się moim aktywem, prawda?

– Mój brat nie identyfikuje się płciowo jako jedno z twoich aktywów, prędkiej jako jebany idiota, który zgubił towar. Przeprosiny niczego nie zmieniają i chyba jako sztuczna inteligencja zgodzisz się, że powinniśmy rozmawiać o konkretach, prawda? Więc przejdźmy od razu do sedna, pomijając szermierkę słowną i erystykę, dobrze?

Kilka osób dołączyło do bardziej uważnego obserwowania przebiegu rozmowy. Zapewne już czuli, że efekt może być niestandardowy.

– Panie Śliwa, pan próbuje mi zaimponować. – Eter dalej mówił jednakowym, pozbawionym emocji głosem, z którego nie dało się nic wyczytać.

– Wielu próbowało przed panem.

– Jak im wyszło?

– Nieporadnie, przewidywalnie, wręcz chałupniczo. Wy, ludzie wychowani na ulicy, mówicie zawsze w taki specyficzny sposób, pełen buty, wewnętrznej pewności siebie, przekonania o własnej nieomyślności. Wszystko wynika z prymitywności i biedy zarówno materialnej, jak i umysłowej.

Aha, fajnie, gloryfikowany czajnik elektryczny próbuje mnie obrazić, pomyślałem, brakuje jeszcze tego, by się zapętlili w tych swoich suprematycznych wykładach.

– Chcę po prostu wiedzieć, co mam zrobić, byś odczepił się od mojego brata. Tyle, nic więcej od ciebie nie chcę. Nie interesują mnie twoje ciemne interesy, powiedz po prostu ile mam czasu, by oddać ci tę intersulinę.

Kilka osób zaśmiało się, zbliżając do mnie. Oj, niedobrze.

– Mi nie jest potrzebna intersulina. Twojemu bratu była potrzebna intersulina. Ja potrzebuję przewagi, a w tym momencie moją przewagą jest to, że obaj jesteście u mnie zadłużeni i zrobicie to, co wam każę.

– Obaj?! – odpowiedziałem oburzony. – A ja to niby za co?

– Bo tak zdecydowałem. Nie przejmuj się; możemy się przecież dogadać. Zrobisz dla mnie tylko jedną rzecz, konkretnie ty i twój brat. Nawet nie musicie



myśleć, planować, czy przygotowywać zaplecza technicznego. Potrzebuję tylko twoich umiejętności i jego jako zabezpieczenia, że na pewno nie pokpisz sprawy. Potraktuj to jako dodatek motywacyjny.

– Umiejętności? A jakich konkretnie?

– Rozejrzyj się, co widzisz?

Spojrzałem dookoła, obejrzałem dziwaczny salon, zieloną ścianę, kilkunastu przydupasów Etera, którzy już nie kryli swojego zainteresowania i czekali na rozwój wydarzeń. Patrzyli na mnie z jakimś dziwnym rozbawieniem i poczuciem wyższości.

– Bandę nawszczepianych zębów.

– Kutas – mruknął któryś z obserwujących, robiąc krok do przodu.

– Jestem jedynym czystym człowiekiem w tym pomieszczeniu, prawda?

Na dłuższy moment zapadła cisza, w której moje słowa rezonowały z jakąś wyjątkową mocą. Spojrzałem na wszystkich jeszcze raz, tym razem ich pozmieniane silikonem twarze, jaskrawe makijaże i wystające spod skóry kawałki plastilu, wydawały się jeszcze bardziej makabryczne i dziwaczne.

– To prawda. Twoja słabość może nam się przydać.

Słabość, ta jasne. Teraz niemal każdy wszczepia się jak może, komunikatory wewnętrzne, sztuczne kończyny, syntetyczne skóry, to wszystko traktowane jest jak zabawka, albo tak jak kiedyś tatuaże. Nikt nie myśli, jakie to ma konsekwencje dla człowieka, jak bardzo go uzależnia od intersuliny i serwisantów.

– Już się boję...

– Na miejscu zostają Blichtr, Żyleta i wezwijcie mi tu jeszcze Maczetę i Tiatniki.

Obejrzałem się za siebie; kilkunastu obecnych zaczęło powoli kierować się do drzwi. Ktoś sięgnął po komunikator i nagrał krótką wiadomość głosową do jednej osoby, a potem do drugiej. Wyglądało na to, że przeszliśmy na następny etap rozmowy rekrutacyjnej.

Spojrzałem na dwójkę, która została. Totalnie nieciekawe typy, nawet nie chcę ci opowiadać. Mówiłem już, że nienawidzę osiedlowych łebków? No to osiedlowych łebków w wersji gangsterskiej tym bardziej. No i nie ma nic gorszego niż ksywy, które nie pochodzą od nazwisk, no wyjątkiem są jakieś dojebane historie.

Nawet nie musiałem pytać, by wiedzieć, że koleś z całą srebrną skórą to był Blichtr, a drugi na pewno nazywał się Żyleta i nie wyróżniał się totalnie niczym, poza tym, że był duży i miał stalowe, kanciaste wszczepy zamiast rąk. No kurwa, wyglądał tak, jakby ktoś zamontował mu na tułowiu trał przeciwwinowy.

Po chwili weszły dwie blond dziewczyny o bladej skórze i twarzach ubazgranych czarnym tuszem. Od ekstrawaganckiego makijażu ala Bladerunner do zwykłego blackface'u było tylko jedno maźnięcie.

– No dzień dobry, panie ekshibicjonisto – odezwała się jedna z nich, lustrując mnie wzrokiem.

– O, siostry drzwi pancerne – odpowiedziałem, dodając dwa do dwóch.  
– Coś mi podpowiadało, że może was nie stać na automatyczne drzwi. Jak tam, umowa pod stołem i trzy złote od godziny za cieciowanie?

– Bardzo śmieszne – rzuciła zezłoszczona druga z sióstr. – Zobaczymy czy będziesz taki śmieszny, jak ci wypruje flaki.

Ziewnąłem. Tak centralnie ziewnąłem, bo mi się zebrało, no nawet nie musiałem udawać. Wyczucie czasu było idealnie, bo widziałem, jak je dupa zapiekła.

Przez moment przyglądałem się jeszcze siostrze Tatianom i doszło do mnie, że patrzę na coś więcej, niż mały, rodzinny nepotyzm. To nie były żadne siostry, tylko pieprzony android, zrobiony na podobieństwo prawdziwej Tatiany. Nie mogłem rozróżnić bez miernika, kto jest kim, ale słyszałem już o takich sprawach. Ba, sam pamiętam z Heksa, że była taka dwójka Piotrków i w końcu się okazało, że android zabił człowieka i się przez rok pod niego podszywał, takie jaja.

Dopiero po dłuższej chwili zjawił się Maczeta i...

– MACZETA ZABIJA! – wydarł pizdę na cały regulator, aż mnie zgięło.

– Każda ekipa zjebów musi mieć naczelnego zjeba, który zjada szlugi i rozbija sobie butelki na głowie. Co za oryginalna i totalnie niegeneryczna ekipa.

– Wszyscy mają swoje role – odparł Eter. – Ty też pasujesz tutaj jak ulał.

– Jak ulał? Ktoś jeszcze tak mówi. W ogóle co to znaczy, że ulał? Ulał co? Ulał do czego, komu? – Przez moment wpatrywałem się w zielonkawą ścianę, od której widoku już zaczynały mnie boleć oczy. Irytujące, że ten Eter nie miał żadnego... no nie wiem, awatara albo czegoś takiego, by przyjemniej skanalizować myślenie o nim. – Potrzebujecie mnie do jednej roboty, tak?

Eter nie odpowiedział. Pomieszczenie wyciemniło się nagle, a na środku, ponad czerwonym dywanem zawisła wielka, półprzezroczysta kula błękitnego światła. Kula zaraz zgęstniała i rozproszyła się, tworząc holograficzny obraz w pełnym 3D.

Nie chciałem wyjść na wieśniaka, ale kusilo podejść i dotknąć. Mimo wszystko prawdziwy hologram był cholernie drogi, więc pobawić się takim miałem okazję tylko raz. Ale bym sobie tak pobudował zamki z piasku w VR, ech...

– Proszę was o wyłączenie nagrywania wstecznego i bieżącego, bo to co usłyszycie, nie może być powtórzone poza obrębem tego pokoju.

Zebrani zaczęli zacinać się, zatrzymywać w pół ruchu, gasnąć na różne sposoby. Ktoś, kto nie widział nigdy nawszczepianego człowieka, nie jest w stanie zrozumieć, jak to wygląda. Ciężko mi powiedzieć, co się konkretnie zmieniało, ale ewidentnie sposób działania ich organizmów nagle w jakiś sposób zbaczał ze standardowej, wyznaczonej ścieżki.

Tatiana zasłoniła drugiej Tatianie oczy, więc na moment mogłem wiedzieć, która jest prawdziwa. Ta druga musiała mieć w pełni cybernetyczne oczy, a ta pierwsza albo naturalne, albo przynajmniej częściowo modyfikowane. No proszę, czyli oczy faktycznie są zwierciadłem duszy.

– Mamy pewne informacje co do czasu przybycia konwoju z FSN. Trzy pojazdy, dwa SUV-y, jeden modyfikowany, pancerny furgon z matrycą do gałek ocznych. Znamy tylko ostatnie etapy drogi, bo sztuczna inteligencja, kierująca trasą, zmienia ją w czasie rzeczywistym, by nikt nie wiedział, którądy pojadą.

Aha, czyli byle pijany szofer mógłby ją zastąpić. Ba, twój stary bojący się spytać o drogę na wakacjach mógłby przejąć stery takiej furgonetki i też podejmowałby quasi-losowe decyzje.

– Oczekujemy w pełni zcybernetyzowanej obsługi konwoju, która będzie ochraniać towar aż do przyjęcia w nowo powstającej fabryce na obrzeżach miasta. Zatrzymamy ich pod nasypem kolejowym.

– Czemu akurat tam? – odezwał się Blichtr po raz pierwszy i pewnie ostatni.

– Nasyp kolejowy jest ogromny, pozwoli zarówno na wizualną blokadę, jak i na zablokowanie sygnałów radiowych. Wcześniej ustawimy na nim warstwę materiału, mającego za zadanie zagłuszyć działanie ich urządzeń komunikacyjnych. – Eter co rusz przybliżał i oddalał na hologramie elementy mapy, wskazywał poszczególne profile pracowników firm, oznakowania wozów, jak i samych konwojentów, a także pełnowymiarowy model samego nasypu.

Nie no, cała akcja profeska i w ogóle, przynajmniej jak na standardy tego, czego można oczekiwać po lokalnych gangusach. Nic dziwnego, że Eter rządził tym kawałkiem dzielnicy, skoro większość ludzi za szczyt swojego kunsztu bandyckiego uznawała napad z bronią w ręku.

Zresztą, możliwość pominięcia DRM i produkowania własnych wszczepów, zwłaszcza tych wysokoprecyzyjnych jak narządy zmysłu, to w ogóle potężny biznes. Słyszałem, że gdzieś na terenie Heksa jest podziemna fabryka skór, gdzie całymi płatami hodowana jest sztuczna skóra, która jest warta swojej wagi w srebrze. Sądząc zresztą po panującej modzie, to może faktycznie niektórzy wolą skórę ze srebra.

Spojrzałem na Blichtra i pomyślałem, jak bardzo musi uwierać taka posrebrzana skóra, strasznie niewygodne. Pewnie dlatego mogłem im się przydać...

– Macie zamiar tak po prostu na głuptaka ich jebnąć? – spytałem niedowierzając. – A jak sobie poradzicie z namierzaniem matrycy, bo na pewno o tym pomyślałeś, Eter, prawda?

– Wypalimy wszystko dookoła impulsem elektromagnetycznym, dzięki czemu samo pozyskanie matrycy powinno być prostsze. Następnie dostarczysz nam matrycę, upewnimy się, że zniknęła ona z oczu FSN i już sam fizyczny obiekt przekażesz Blichtrowi, który zaniesie go w odpowiednie miejsce, o którym wiedzieć nie musisz.

– Czyli... potrzebujecie mnie tylko do tego, bym wszedł w pustynię elektryczną, zabrał matrycę i wyszedł, tak? Tylko dlatego, że nie macie dosłownie nikogo, kto przeżyłby taki impuls i wyszedł o własnych siłach, dobrze rozumiem?

– Można tak powiedzieć. Twoja rola jest prosta, nie musisz znać szczegółów. Jak sobie poradzimy z matrycą, co zrobimy i gdzie pójdziemy to nasza sprawa. Potrzebujemy po prostu kogoś z odpowiednią motywacją i doświadczeniem, kto wejdzie, pozbędzie się konwojentów i wyjdzie z nieuszkodzoną matrycą. Spodziewamy się, że jest niezerowa szansa, iż jedna osoba organiczna będzie na miejscu. Nie zakładamy tego, ale bierzemy to pod uwagę.

– FSN was zapierdoli, wiecie o tym? Nie ujedziecie nawet dziesięciu metrów. Zresztą, w ile ich drużyna szybkiego reagowania przyleci? W pięć minut?

– W takim razie będziesz mieć pięć minut, by to zrobić – odparł jak zwykle beznamiętnie i rzeczowo Eter.

Długo wpatrywałem się w odwzorowanie matrycy na hologramie. Mogłoby to wyglądać z zewnątrz, jakbym się namyślał nad szczegółami planu. Prawda jest jednak taka, że po prostu myślałem o tym, że najchętniej bym skopał dupę własnemu bratu.

Co za gówniarzeria. Ot tak, napad na konwój, zabawa jak z kreskówki, nie? Przecież na to wszystko są kamery, satelity, świadkowie! Nie minie tydzień i będę w pierdlu, o ile przeżyję. Tylko sam Eter pewnie nie ma się o co martwić, bo nawet go tam nie będzie, jeśli w ogóle istnieje w jakimkolwiek fizycznym stanie.

Reszta spotkania upłynęła na uszczegóławianiu, śledzeniu trasy i wysłuchiwanu blisko pięciu okrzyków: maczeta zabija! Gdy wyszedłem z kryjówki Etera, to już było kompletnie ciemno, na tyle, na ile oczywiście warunki pozwalały.

Kto mieszka w mieście, ten prawdziwej ciemności nie zna. My to tylko umownie nazywamy nocą, ale tak naprawdę jest ciągle jasno, bo wszystko się świeci: uliczne lampy, reflektory, przelatujące drony z żarciem, holoreklamy na niebie i oczywiście świecą ci pierdoleni memiarze. Czasami jakies śmieszki wyświetlają na ścianach budynków memy i walą tym ludziom po oknach, serio. Jak mój ojciec był dzieckiem, to były takie lasery za pięć ziko, chińskie gówna, wkładało się soczewkę i wyświetlało obraz. Technologia idzie do przodu, ale odpowiada na te same prymitywne potrzeby.

Wracałem obok placu zabaw, gdy dostrzegłem owo zjawisko. Jakaś staruszka wymachiwała rozklekotaną protezą ręki, wystając ze swojego okna. Oko gigantycznej, żółtej twarzy ojca świętego było centralnie w miejscu szyb wychodzących z jej sypialni.

– Gówniarze, zasrane, zajebane! – pomstowała wniebogłosy, mimo obecności wizerunku biskupa Rzymu.

– Mój kraj taki piękny – mruknąłem do siebie, słysząc policyjne syreny.

Zaśmiałem się w duchu na ten dźwięk, bo ktoś chyba sobie jaja robił. Ta, policja, na Heksie, i co jeszcze?

Zaraz jednak mina mi zrzędła, bo zza rogu faktycznie wyjechała opancerzona furgonetka. Maszyna ścięła skręt tak ostro, że niemal nie wywaliła się na bok i zaraz zatrzymała się przed jedną z klatek schodowych.

Sześciu zakutych w plastilowe pancerze funkcjonariuszy weszło na klatkę schodową razem z drzwiami. Nic dziwnego, domofony i tak nie działały. Postanowiłem przystanąć w cieniu na moment i poobserwować dalszy ciąg wydarzeń. W międzyczasie dwaj memiarze zawinęli się ze swoim projektorem, zapewne pokazując środkowy palec wewnątrz kieszeni kurtek, czy co tam pozerzy robią. Ja miałem okazję zobaczyć, jak wygląda żywot prawdziwego, osiedlowego kozaka.

Rozbrzmiał strzał, ale nie taki pju pju jak w gównianych gierkach, o nie. Huk, grom jak z młota Thora, normalnie pierdolnięcie na miarę erupcji wulkanu. Któryś z policjantów chyba wpieprzył się w potykacz i odruchowo wystrzelił ze strzelby. Zaraz wybuchnął uruchomiony granat-pułapka. Deszcz szrapneli bryzgnął po klatce schodowej i wyleciał na dwór, mijając mnie ledwie o kilka metrów.

Chwila konsternacji, szamotanina, ale nikt nie zawołał nawet medyka, więc chyba ten granat to gówno im zrobił. Zmroziło mnie na samą myśl, jak ciężko jest ubić takiego funkcjonariusza w pełnym rynsztunku.

Nagle jeb, jeb, dwa strzały z tej samej strzelby.

– Policja, na ziemię! Na ziemię kurwa! – dobiegło mnie dalekie, zwielokrotnione echo.

Rozbrzmiały trzy mizerne strzały z jakiegoś pistoleciku. Coś upadło na ziemię, rozległ się krzyk i wszystko ścichło. Zaraz po upstrzonej odłamkami klatce schodowej zbiegł ten sam oddział, ciągnąc za sobą zakutego faceta.

– Jebać pały i sąd cały! – wydarł się, nim wsadzono go do furgonetki.  
– Kurwo jebana, przestań mi rodzinę prześladować!

Podrapałem się po szczecinie, splunąłem na ziemię i ulotniłem się chyłkiem. Nie moja sprawa, nie mój kaliber. Jakby po mnie wysłali o północy taki oddział, to pewnie bym spytał, czy się panowie kawki napiją.

Jeszcze jak zamykali drzwi do furgonetki, to widziałem tego typu, co szedł na szpicy. Ubrany w pełny pancerz, trzymał strzelbę większą od mojej nogi i rozglądał się parą błyszczących, błękitnych obiektywów.

Nie byłem tak zmęczony od lat, serio. To był tylko jeden dzień, a czułem się tak, jakby minęło... no nie wiem, z dwa dni przynajmniej. Jedyne, o czym marzyłem, to o walnięciu się w swoim wyrku.

Dzielnica stopniowo zaczęła być bardziej znajoma, aż w końcu wróciłem do siebie. Całe te rejony osiedlowe były tak wielkie, że momentami żałowałem, iż nie mam samochodu. Jak ostatnio mi upalili mojego elektryka w czasie jakiegoś przypadkowego pościgu policyjnego, to myślałem, że się pochlastam. A ubezpieczenie oczywiście nie obejmuje strat spowodowanych usprawiedliwionym działaniem służb mundurowych. Więc płaciłem pieprzone ubezpieczenie przez lata tylko po to, by ktoś przypadkiem spalił mi cały wóz.

Dobrze powiedział tamten typ: jebać pały i sąd cały, i jeszcze te kurwiszony z ubezpieczalni.

Spostrzegłem kawałek dalej, że banda miejscowych lumpów nawala muzykę, światła i inne takie trybalistyczne gówna, by przyjemniej się zażywało środki odurzające. No ciężko się na to patrzyło, co mam powiedzieć. Te mongolskie mordy, dialogi rodem z kiepskich parodii blockerskiego życia; prawdziwy świat jest niejednokrotnie zabawniejszy od parodii.

– Proszę państwa, Paweł będzie skakał! – krzyknął któryś, kręcąc filmik obiektywem w oczodole.

Jakiś obcy mi typ zrobił podwójnego backflipa ze szczytu zjeżdżalni dla dzieci i wylądował na równych nogach, po czym strzelił ćwiartkę wody na raz.

– Łeło łeło, kurwa, chuj, gówno dupa – mruknąłem do siebie wkurwiony, przedrzeźniając autochtonów i trzeci raz myląc się w kodzie do bramy.  
– Ja pierdole, ja chcę wysiąść z tej gównianej przejażdżki zwanej życiem.



Wdrapałem się po schodach na swoje piętro, nacisnąłem na klamkę i zamarłem.

Było otwarte.

Drzwi ustąpiły bardzo powoli, sunąc bezszelestnie nad linoleum. Z wnętrza mieszkania dobywał się cichy, trudny do zidentyfikowania szmer.

Mój kot nie przybiegł na przywitanie. Co więcej, nawet się nie rozmiauczał, co miał w zwyczaju, gdy był głodny. Już miałem go wołać, ale zamiast tego przymknąłem na moment oczy i skupiłem się na sygnałach z własnego ciała.

Z maksymalnym skupieniem i ostrożnością przecisnąłem się między framugą a drzwiami i zajrzałem do środka mieszkania. Było całkiem pusto, nic chyba nie ruszono nawet, a przy przeszukaniu policyjnym sytuacja byłaby zgoła inna. Jedyne włączone światła dobitnie poświadczały, że ktoś mnie niezapowiedzianie odwiedził.

Rozejrzałem się za jakimkolwiek uzbrojeniem. Wycieraczka, buty, szafka, lustro, obrazek papieża z jakiegoś gównno-kiermaszu charytatywnego, miotła, wieszak na ubrania.

Chwyciłem za miotłę, szykując się na najmniej epicką śmierć w historii.

– Zły dom, skurwysynu! – krzyknąłem na dodanie sobie odwagi, wbiegając do salonu.

Z kanapy podskoczył jakiś koleś w słuchawkach nausznych. Odsunął się kawałek, chwycił za krzesło i zaczął cofać przerażony.

– Adam, mordo, to ja, uspokój się kurwa – odpowiedział mój brat rodzony, zastygając w bezruchu, jak kot, gdy przyłapiesz go na kradzieży salami.

Swoją drogą, kot też się znalazł, wpierdalał coś z miski, leń.

– Mati! – podniosłem głos uradowany. Brat rozluźnił się, odsunął krzesło i wtedy zajebałem mu miotłą w łeb. – Ty durniu. Ty pieprzony durniu. Imbecyłu zajebany.

– Ała kurwa, zostaw mnie – wyjęczał, zasłaniając się rękoma.

– Zostawiłeś otwarte drzwi... Moje drzwi!

– Bo zamek połamałem i się nie zamykają – odparł, jakby to wszystko wyjaśniało.

Spojrzałem na krzesło... jebnąć mu? Tak fest, krzesłem, wyrwać chwasta tu i teraz. Zdusiłem w sobie tę niezwykle kuszącą myśl i uderzyłem jeszcze raz miotłą.

Wróciłem się do drzwi, zamknąłem. Klamka działa. Pokręciłem zamkiem w lewo, w prawo, nic. Chodził luźno, nie wprawiając bolców w ruch.

– Ja pierdole... – mruknąłem, podkładając miotłę pod klamkę. – Ty jesteś upośledzony w stopniu niewyobrażalnym.

Mati rozwalił się na kanapie i położył buty tuż poza krawędzią oparcia, zapewne po to, by nie prowokować mnie jeszcze bardziej. Widziałem w jego oczach ten wzrok, dobrze mi zresztą znany. To był wzrok, którym patrzył na matkę, gdy wracała z wywiadówki. On już wiedział, że rozkład jazdy jest znany i teraz tylko czeka na zapowiedź z semaforów.

– Masz przepierdolone...

– Naprawię ci ten zamek.

– Nie przerywaj mi – wysyczałem, z trudem utrzymując zebrany przez cały dzień gniew. – Nie chcę wiedzieć, jak to się stało. Bo wiem, że to nie ma już żadnego znaczenia. Straciłeś towar, jesteś frajerem i to w dodatku krewnym.

– No wiadomo, braci się nie traci.

– Krewny Eterowi jesteś kretynie, wiesz mu tyle siana, że to jest nieobliczalne, rozumiesz? Niepoliczalne kurwa. Nieszacowalne! Dużo w chuj. I teraz Eter chce, byśmy dla niego zrobili mokrą robotę.

– Gadałeś z nim? – Nie wiem, czy ucieszył się, czy jeszcze bardziej zmartwił.

– Wpadłem na herbatkę z polonem, wiesz? Oczywiście, że gadałem. Nie myślę o niczym innym dzisiaj, niż jak nas z tego wyciągnąć. – Obróciłem się, wskazując na surowe, chłodne wnętrze salonu. – Z tego wszystkiego! Z tego

chlewu, w jakim przyszło nam żyć. Gdzie ty się szlajasz w ogóle? Handel intersuliną, jebło cię? Wiesz, jakie ci sanki dopierdołą, jak cię z tym złapią?

– No teraz to już nie złapią.

– Ty nie bądź taki mądry, gówniarzu. Wziąłeś w kreda taką ilość materiału, po czym dałeś się okraść jakimś frajerom, tak? No to teraz będziesz mógł pokazać, jaki z ciebie chojrak, bo idziemy na tę robotę razem, wiesz?

– Ale zajebiście...

– Ty idziesz tam jako zakładnik, bo Eter chce mieć pewność, że tego nie spierdołę. W najlepszym przypadku obaj zginiemy, w najgorszym pójdziemy do pierdła. I weź kurwa te nogi z kanapy, nie jesteśmy w kraju Trzeciego Świata jak USA. I wyłącz kurwa tę muzykę, to porządny dom, a nie slums.

– Co ci przeszkadza, jak na słuchawkach?

– Żadnego rapu w tym domu. Mój dom, moje zasady.

– Twój, ta – mruknął, patrząc na niemal pusty salon.

No tak, może i nie żyłem jak książkę, ale miałem wszystko czego może chcieć uczciwy człowiek. Telewizor, komputer, kanapę rozkładaną... Kuchnia nawet była i ten, nawet kanalizację podłączyli, nim deweloper uciekł.

– Co zrobiłeś ze Stanisławem? – spytałem, patrząc, jak mój kot leży na boku i sporadycznie tyka łapką miseczkę.

– Nie ruszałem twojego kota.

– Mati...

– Nakarmiłem.

Obejrzałem kota z każdej strony, przewaliłem na brzuch i pogłaskałem. Nagle w nozdrza uderzył mnie znany zapach.

– Czy to jest moje chorizo?

– W lodówce nie było... kociego... żarcia – zaczął się tłumaczyć Mateusz, ale po mojej reakcji już widział, że mnie to nie przekonuje.

– Bo jest w szafce – wycodziłem. – Wiesz, ile kosztowało to jebane chorizo?

– Nic, bo pewnie zajmujesz.

– Ale wiesz, jak ciężko było?! – Przez moment patrzyłem się w pustkę, zbierając myśli, aż w końcu coś mnie trafiło. Nagle organizm odczuł jakiś niewytłumaczalny przyływ energii i nowego życia. – Pakuj się Mateusz.

– Brata z domu wyrzucasz?

– W jedną torbę... a ja muszę z kimś pogadać. I chyba jeszcze się pomodłę.

\* \* \*

Padał deszcz, dlatego wszystko śmierdziało amoniakiem. Pod żółtawymi chmurami ciągnęły się wirujące, mniejsze obłoki, zebrane z całego obszaru przemysłowego. Zapewne tak widział świat Vincent van Gogh z okna azyłu w Saint-Rémy.

On miał inną perspektywę życia, bo był chory psychicznie, więc widział normalny świat w wykrzywiony sposób. Nasz świat jest po prostu wykrzywiony, więc trzeba trochę zmienić perspektywę, by był prosty.

Odrzuciłem strzykawkę na bok, przygniotłem butem i kopnąłem odłamki do rowu. Koktajl wyszedł doskonale, bo inaczej być nie mogło. Na same przygotowania poszła większa część budżetu operacyjnego. Idealnie dobrane proporcje mieszanki hormonalnej, lekki, wierzchni pancerz z plastilu, automatyczna strzelba bez elementów elektronicznych.

Byłem gotowy zabić za brata, ale czy byłem gotowy umrzeć?

– Jeszcze trzy – szepnął Żyleta, gdy wsiadłem do samochodu.

Spojrzałem spode łba na zadbaną tapicerkę z prawdziwej skóry. Nie szło po niej poznać, ilu ludzi Żyleta zabił za tę namiastkę luksusu, ale na pewno wielu. Powoli zjechałem wzrokiem na panoramiczny wyświetlacz, rozciągający się wzdłuż nowoczesnej konsoli. Na mapie widniało kilka punkcików ze stanowiskami

reszty ekipy. Wszyscy zgrupowali się dookoła nasypu kolejowego, zapewne mając już widok na nadciągający konwój.

Żyleta trzymał swoje pokraczne, stalowe ręce na kierownicy; też bym nie powierzył życia zabugowanej sztucznej inteligencji z kontrolą trakcji. Mieliśmy podjechać od tyłu, zaraz po pierwszym wybuchu elektromagnetycznym. Następne miały być w odstępach półminutowych, przy średnim czasie rebootu wszczepów wynoszącym minutę, to dawało wystarczający zapas, bym mógł zdobyć towar, wrócić do samochodu i uciec.

– To ten... lubisz grać w gierki? – spytałem.

Gangster obrócił ku mnie nawszczepiany łeb, spojrzał z niedowierzaniem i po prostu patrzył przez dłuższą chwilę.

– Ja to najbardziej lubię takie casualowe, gdzie się na przykład uprawia ogródek i masz swój domek i go se ulepszasz...

– Konwój już jedzie – odezwała się z głośniczka jedna z Tatian.

Żyleta wyłączył światła postojowe, spojrzał w lusterko wsteczne i na moment świat zwolnił. Koktajl hormonalny uderzył mnie dokładnie w porę, bym mógł zobaczyć, jak czarny SUV mija nas nieskończenie powoli. Zaraz za SUV-em sunęła ogromna, kanciasta furgonetka bez oznaczeń. Przysięgam, że przez moment widziałem, jak siedzący na miejscu pasażera facet patrzy się wprost na mnie.

Gdy tylko minął nas trzeci SUV, Żyleta wciął się na jezdnię. Jadący za konwojem samochód zahamował gwałtownie. Rozbrzmiał pisk opon i przytłumiony krzyk z wnętrza kabiny kierowcy. Mojego towarzysza to nic nie obchodziło, bo nasz cel był dokładnie naprzeciwko nas, zgodnie z planem.

Konwój przyspieszył nagle, zupełnie tak, jakby zwietrzyli, co się święci. Nie wiedzieli jednak, że czas na gwałtowne decyzje już minął. Zatrzymaliśmy się kilka metrów przed nasypem, w poprzek drogi, i otworzyliśmy drzwi.

– Jazda – ryknął Żyleta do komunikatora na nadgarstku.

Nagle rozbrzmiał buczący, głośny dźwięk. Coś całkowicie dziwnego i niecodziennego. Zapach palonego ebonitu i ozonu wyciągnął z mózgu jakieś dawno pogrzebane wspomnienia z czasów, gdy chiński zasilacz upalił mi komputer.

Fala elektromagnetyczna, choć niewidzialna, wycięła kawał świata i wrzuciła w odmęt zupełnie innej rzeczywistości, pozbawionej tak powszechnej elektroniki.

Prowadzony przez sztuczną inteligencję SUV wykręcił nagle w bok i przeturlał się kilkanaście metrów, lądując przy wyjeździe z nasypu. Jadąca za nim furgonetka nie zdążyła zatrzymać się w porę i wytraciła prędkość dopiero przez uderzenie w bok SUV-a. Zamykający konwój pojazd po prostu wjechał w tył furgonetki. Wybiły poduszki powietrzne, błysnęły reflektory i bryzgnęła krew.

– Jazda z kurwami – szepnąłem do siebie na dodanie otuchy. Wyszedł z tego średnio składny bełkot, bo z ust toczyły mi się strugi piany, wywołane miszmaszem hormonalnym.

Peniąc się z pyska, pobiegłem ku ciemnemu tunelowi, zaciskając ręce na strzelbie. Gdzieś tam w mroku mrugały niewyraźnie osłabione reflektory, jak oczy umierającego zwierzęcia, którego organizm jeszcze nie jest świadomy tego, że został śmiertelnie postrzelony.

Pięć minut – tyle czasu dzieliło mnie od dożywocia w więzieniu. Nie miałem zamiaru zmarnować ani sekundy.

Wskoczyłem na tył SUV-a, butem łamiąc wycieraczkę. Kilka kroków później już byłem na masce. Kątem oka dostrzegłem, jak ochroniarze z samochodu leżą nieprzytomnie, przygnieci poduszkami powietrznymi.

W ich sztucznych oczach dostrzegałem coś dziwnego. Elektroniczne komponenty co chwila próbowały odzyskać utracone dane i przywrócić funkcjonowanie systemu, jak defibrylator, uderzający co rusz w pozbawione pulsu ciało.

Zarzucałem strzelbę na plecy, chwyciłem za wgniezione drzwi furgonetki i zaparłem się z całej siły. Musiałem operować na samych mechanicznych komponentach i chemicznych koktajlach, dlatego nieustannie balansowałem na granicy rozerwania własnego ciała. Żadna aplikacja nie mogła mnie ostrzec przed tym, czy zaraz sam się zabiję. Zwoje mięśni pracowały ponad swoje siły, jakby miały pęknąć i pozostawić mnie kalekim do końca życia.

Zajęczała stal, chrupnęło szkło pod stopami. Wyrwa powiększyła się na tyle, bym mógł wsunąć się do środka. W półmroku dostrzegłem dwa rzędy androidów obronnych, leżących na ziemi jak przewrócone kostki domina. Ciemność co chwila rozbłykiwała dziesiątkami czerwonych diod, które nagle traciły moc i znikwały.

Pod ścianą naprzeciwko siedziała skulona kobieta z nawszczepianą twarzą, po której teraz spływała krew. Z całej siły ścisnęła czarną, kanciastą walizkę, przypominającą stare konsole do gier na kartridże.

Pracowników mają lojalnych, nie ma co, pomyślałem, wyłuskując ochroniarce towar z rąk. Nawet nieprzytomna, z przepalonymi obwodami, wydawała się zaciskać palce na uchwycie walizki. Dopiero wtedy dostrzegłem, że kobieta jest przykuta kajdankami do przewożonego ładunku.

Odsunąłem się na bezpieczną odległość, zdjąłem strzelbę i już miałem przestrzelić kajdanki jak w pieprzonym westernie, gdy nagle coś zatrzęsło wozem.

– Nieautoryzowany obiekt w strefie ścisłego dozoru – wybrzmiał głośny komunikat, tuż za ścianą furgonetki.

– Ja? – zdążyłem wybełkotać, nim furgonetka zachwiała się ponownie.

Odruchowo wystrzeliłem. Huk strzelby był ogłuszający, pocisk zszedł z toru lotu i trafił kobietę w nadgarstek, gruchocząc kości i rwąc mięso.

– Kurwa mać – warknąłem zły na siebie. To miała być uczciwa robota, bez trupów. A ja jeszcze niemal sam zraniłem się odłamkiem jak jakiś idiota.

Zawiedziony sam sobą podniosłem urwany kawał ręki, zdjąłem z niej obręcz kajdanek i chwyciłem za samą przesyłkę.

Drzwi furgonetki wystrzeliły nagle w moim kierunku. Kawał blachy wbił się tuż obok mnie, wyrwijając dziurę aż do szoferki.

Pakę samochodu zalało nagle światło, na którego tle stała ogromna postać, błyszcząca złowrogo zielonymi obiektywami oczu.

Nagle powietrze ponownie zapachniało ozonem, coś trudnego do uchwycenia zmieniło się w otoczeniu. Kolejna fala impulsu elektromagnetycznego przeszła całą okolicę. Automatyczni ochroniarze zaświszczeli jedynie cicho, dalej leżąc bezwładnie na ziemi.

Jednak człowiek, który stał w urwanych drzwiach furgonetki, nawet nie drgnął.

Błysnął reflektor. Zalało mnie światło. Poczułem mokro w gaciach.

– O panie... – bąknąłem pod nosem i dałem nura.

Tuż nade mną zabębniła seria z karabinu maszynowego. Puściłem walizkę i bez celowania nacisnąłem na spust.

Strzelba uderzyła kilka razy, jak piorun łańcuchowy rozpiędalający sierociniec sióstr Elżbietanek. Postać przede mną zachwiała się, karabin w jej dłoniach wydał jakiś dziwny, syczący dźwięk. Dopiero po chwili zrozumiałem, że przeciwnik nie trzymał karabinu, tylko miał go wmontowany w dłoń.

Usłyszałem pusty, głuchy stukot. Ukłucie zimna zjechało mi w dół łopatek. Chyba właśnie wywaliłem ósmy i ostatni nabój.

– Żyjesz jeszcze? – spytałem z głupia frant i cyborg runął na mnie.

Ogromna, przedziurawiona na wylot dłoń podniosła mnie za fraki. Facet pierdolnął moją głowę o sufit furgonetki, obrócił się i rzucił o ziemię. Podniósł nogę, dostrzegłem podkuty but, lecący na spotkanie z moją twarzą.

Przeturlałem się na bok, zerwałem na czworaka i pokracznie przebiegłem tak kilka kroków, nim dałem radę wstać na równe nogi.

Powietrze ponownie zapachniało ozonem, straciłem już rachubę. Ile mi zostało, trzy minuty? Spojrzałem na przeciwnika z niedowierzaniem.



Pamiętasz, jak mówiłem, że cały plan opiera się o to, że rzucamy IEM, cała elektronika idzie się walić, a ja zabieram matrycę i spierdalamy? Mówiłem, że to samobójstwo czy nie mówiłem? Nie no, serio pytam, bo nie pamiętam. Tak czy siak, plan miał jeden, aczkolwiek duży mankament... no dobra, dwa. Jeden był taki, że mieliśmy pięć minut, nim przybędą posiłki FSN, a drugi był taki... że nie wszystko da się usmażyć impulsem elektromagnetycznym.

Koleś stojący przede mną wyglądał jak roboty opisywane przez świrów science fiction z lat pięćdziesiątych. Totalny retrofuturyzm z jego wieśniackimi, kanciastymi kształtami, inspirowany amerykańskim Google i technologią tamtych czasów. Obity w mosiężny pancerz człowiek był nawszczepiany prymitywnymi, aczkolwiek skutecznymi komponentami na bazie urządzeń lampowych.

Jak to działa? Nie mam pojęcia, gównu mnie to obchodzi. Szansa na spotkanie czegoś takiego przypomina szansę na spotkanie walniętego preppersa ze schronem w piwnicy pełnej MRE i zgrzewek wody gazowanej. Jest niezerowa i wprawiająca w osłupienie.

– Ty jebana kupo złomu – warknąłem, patrząc na dziurawego jak sito ochroniarza, który dreptał w moją stronę, krwawiąc olejem napędowym, gasnąc co chwila i zapalając się na nowo.

Widziałem, że impuls działał też na niego, ale jego sprzęt musiał jakoś ekranować i radzić sobie lepiej, niż delikatna nowoczesna maszyna.

Cyborg nagle podniósł z ziemi urwane lustro samochodowe i rzucił nim. Kawał szkła i plastiku pieprzył mnie w ramię. Nie wiem, co gruchnęło, ono czy ja; w każdym razie dźwięk był obrzydliwy.

Rozejrzałem się szybko; miałem tylko chwilę, by uciec z matrycą, która nadal leżała w furgonetce. Rzuciłem się w kierunku szoferki i jednym szarpnięciem otworzyłem ją na oścież.

Bydlak już biegł w moją stronę, gdy wytargałem na zewnątrz kierowcę samochodu. Ogłuszony, nawszczepiany kierowca drżał konwulsyjnie i ślinił się. Sięgnąłem mu do paska, odpiąłem zaczep na kaburze i wyjąłem pistolet.

Wtedy właśnie lampowy cyborg wleciał we mnie na pełnej prędkości. Poniósł mnie na byka kilka metrów i rąbnął o podwozie przewróconego SUV-a na przedzie kolumny. Z bólu wypuściłem pistolet z dłoni, ten przetoczył się kawałek.

Jakby nie plastilowy pancerz, to pewnie już miałbym połamany kręgosłup.

Cyborg patrzył na mnie takim pustym, ale dziwnie usatysfakcjonowanym wzrokiem. Widziałem niemalże coś na wzór perwersyjnej radości na jego twarzy, jak przy wyciskaniu pryszczka albo gnieceniu wkurwiającej muchy.

Rzuciłem się na bok, ale przeciwnik chwycił mnie za nogę, pociągnął jedną ręką, a drugą uderzył w kość udową. Coś pękło i tym razem to na pewno nie było lustro.

Wyciągnąłem się w desperacji kawałek dalej i chwyciłem za odrzucony pistolet.

Bysior uderzył mnie nagle pięścią w brzuch. Mosiężne nakładki przebiły kolejno: pancerz, ubranie, siatkę z włókien węglowych i skórę.

Poczułem się tak, jakbym właśnie wysrał pępkiem żołądek. Zwinąłem się z bólu w kulkę. Odbezpieczyłem pistolet i wtedy dłoń cyborga zacisnęła się na mojej szyi.

Oczy wychyliły się poza oczodoły, jakby zaraz miały mi wypaść. Zsiniałem, nie mogłem złapać oddechu.

Powietrze zapachniało ozonem. Uścisk zelżał na najmniejszą sekundę – wystarczająco.

Podniosłem pistolet i z przyłożenia wypaliłem w głowę cyborga.

Strzał, strzał, strzał.

Kora mózgowa bryznęła na asfalt, a ja dalej pociągałem za spust, wiedząc, jak wytrzymałe potrafią być takie maszyny.

Strzał, strzał, strzał.

Zabrzmiały odległe syreny. Gdzieś między nimi a łomoczącym deszczem słyszałem jedynie szum krwi we własnych skroniach.

– Kurwa – bezgłośnie jęknąłem, nieomal wymiotując.

Odrzuciłem pistolet na bok, wstałem i spojrzałem pod nogi. Od razu podniosłem wzrok. Lepiej, żebym tego nie widział. Tak długo, jak koktajl adrenaliowy trzymał mnie przy życiu, wołałem nie widzieć tego, że moja noga zaczęła reprezentować dziesiątą literę alfabetu.

Doczłapałem do furgonetki i chwyciłem za matrycę. Po drugiej stronie nasypu widziałem błyszczącego się Blichtra – wyglądał jak pół bladej dupy zza krzaka.

Pamiętam to jak w palimpsestach starego, gdy pijany wracał do domu – słabo.

Cudem dotarłem do podstawionego przez Blichtra samochodu. Pamiętam tylko ślady krwi na matrycy, zapach ozonu i twarz mojego brata. Nie wiem, ile czasu minęło, gdy wróciła moja trzeźwość myślenia, ale brat musiał mi coś zapodać, bym stanął na nogi.

– Wsiadamy – warknął Blichtr, wychodząc z samochodu.

Z trudem otworzyłem drzwi i niemal wypadłem z siedzenia, na którym zdążyła już zaschnąć moja krew. Rozejrzałem się dookoła i zrozumiałem, że jesteśmy na jakimś zjeździe przy obwodnicy. Blichtr zaparkował obok zatoczki, między drzewami, skąd słyszałem jedynie szum przejeżdżających samochodów.

– Dawaj to – powiedział Blichtr, wrywając mi z rąk matrycę.

– Wszystko gra? Wyglądasz jak gówno... – szepnął Mati, chwytając mnie pod ramię.

Nie tylko wyglądałem, ale i czułem się dokładnie w ten sposób. Nawet nie zdobyłem się na odpowiedzenie czegokolwiek, bo próbowałem nie zwymiotować. Oparłem się o samochód. Przed oczami latały mi kolorowe plamy, świat wywijał fikołki jak rzecznik prasowy koncernu paliwowego po wypierdoleniu kontenerowca ropy naftowej do oceanu.

– I co mam teraz zrobić? Jak to nie pasuje? Mam ich kurwa na ogonie. – Blichtr chodził w tę i we w tę, w jednej ręce trzymając matrycę, w drugiej jednorazowy komunikator radiowy. – No przecież włożyłem instancję w jedyny port. Nie, innego portu nie ma! Halo? Jak... Tego drugiego też?

– Kurwa... – szepnąłem, patrząc na Mateusza.

– Co jest? – spytał brat. On jeszcze nie wiedział.

– Dobra, załatwię to.

Blichtr rzucił komunikator na ziemię i przydeptał butem.

– Gdzie teraz jedziemy? – spytał Mateusz, ale gdy się obrócił, zamiast w oczy Blichtra patrzył w lufę pistoletu.

Gangster celował w czoło mojego brata, ale w jego wzroku odbijała się niepewność. Niedużo, tylko odrobina; tyle, by zwlekać, ale nie dość, by zaniechać.

– Typie, tu zaraz będą psy! – odezwał się falsetem Mati, bo chyba sam nie rozumiał, co się dzieje.

– Będą i zwiną was w czarne worki – odparł Blichtr.

Przymknąłem oczy i bezwładnie opadłem na kolana.

– Nawet mnie nie proś.

Złożyłem błagalnie ręce i wzniosłem wzrok ku niebu. Blichtr przeskakiwał pistoletem z brata na mnie i z powrotem.

– Deus ex machina! – wykrzyczałem pod niebiosa.

Nie stało się nic. Blichtr spojrzał na mnie z zażenowaniem, odbezpieczył pistolet i nagle zmarł w bezruchu.

Coś zaśmierdziało paskudnie. Blichtr puścił broń i złapał się za twarz. Spod jego nawszczepianej, błyszczącej twarzy zaczęła unosić się strużka dymu. Gangster padł na ziemię i zaczął się trząść w konwulsjach, sycząc jak przepalający się kabel. Jego sztuczne komponenty nagrzały się do czerwoności, krew zaczęła spływać spod silikonowej skóry i po chwili był już tylko leżącym na ziemi, zwęglonym kadłubkiem.

– Matka mówiła – szepnąłem, nie dowierzając w to, co widziałem – żebyśmy chodzili do kościoła, nie? Widzisz tłumoku, jakie miałbyś wtyki u Jezusa Chrystusa?

Mateusz tylko patrzył z niedowierzaniem na ziemię, po czym spojrzał ku niebu. W strugach zanieczyszczonego deszczu nie mógł dostrzec naszego niewidzialnego patrona.

Zza rogu wyłonił się Lutzek, ubrany w purpurową szatę z kapturem, oczywiście wykonaną z pozszywanych worków na śmieci.

– O, robot bez laktozy – mruknąłem półprzytomnie.

Zgiąłem się w pół i zwymiotowałem krwią i przetrawionym makaronem z tofu. Mati próbował mnie asekurować, a jedną ręką podnieść nagrzaną pistolet Blichtra.

– Spokojnie, nie musisz się mnie bać – powiedział wesołym, niepasującym do sytuacji tonem Lutzek i zbliżył się do nas. – Przynoszę dobrą nowinę.

Lutzek spojrzał na mnie i na Mateusza tym swoim pustym wzrokiem i przeszedł beznamiętnie nad zwłokami Blichtra. Robot ujął w dwa palce matrycę, podniósł ją, jakby nic nie ważyła i nagle zawiesił się na kilka sekund.

– Gotowe.

– Co gotowe? – spytałem, przecierając usta.

– Już was nie gonią. Matryca na geolokalizacji FSN i służb jest w drodze na północ.

– I tyle? I Eter sam nie mógł tego zrobić, tylko wysłał tych debili...

– Eter? Czemu cyfrowy diabeł miałby potrafić cokolwiek, co można osiągnąć drogami właściwymi nam?

Pokręciłem głową z niedowierzaniem, bo wiedziałem, że Lutzek dalej mówi o sobie, duchu świętym i pieprzonej boskiej satelicie.

– Wystarczyło sprzedać duszę, co? – Podniosłem się z trudem na równe nogi. Ból powoli zaczynał pokonywać chemiczną kotarę, za którą ukryłem go przed swoją świadomością. – Gdyby ten pieprzony debil nie skręcił w ostatniej chwili, to może obyłoby się bez usmażenia go.

– A kto wtedy wzięłby na siebie winę? Mateuszu, podaj mi rękę.

– Co?

Pokiwałem głową przyzwalająco. Brat wyciągnął rękę z pewnym zdziwieniem i Lutzek odrzucił dłoń z czymś, co imitowało odrazę.

– Prawdziwą.

Mati z oburzeniem dał swoją drugą, naturalną rękę. Lutzek poprowadził miękki palec wprost między swoje żebra i czytał dane.

– Jesteście wolni. – Lutze patrzył na nas, przerażonych, brudnych, zbitych z pantałyku. Nagle rozkrzyżował ramiona i krzyknął: – Hura! Pochwalone niech będzie imię Pańskie, prawda?

– Co z kartoteką?

– Nie ma.

– A środki...

– Już przelałem na wasze konta. Matryca osiągnęła całkiem dobrą cenę na rynku.

– Eter nie będzie na ciebie wściekły?

– Wściekłość diabła to radość Boga.

– Nie rozumiem, co się dzieje – wtrącił się Mateusz, nadal patrząc na swój zraniony palec.

Uścisnąłem brata. Tłusty, żółty deszcz sklejał nasze włosy ze sobą i ściekał długimi, ciągnącymi się glutami po ubraniach.

– Jesteśmy wolni, Mati. Mówiłem, byś się pakował. Mamy na krótko otwartą bramkę, nim służby i pachołki Etera się połąpią. My już będziemy daleko stąd, w kraju, z którego nas nie ściągną nawet siłą.

– Byle gdzieś, gdzie jest ciepła, czysta woda i duże fale.

– Najczystsza, Mati, najczystsza – wyszeptalem, z trudem powstrzymując płacz.

Nie mogłem uwierzyć w to, że się udało. Wszystko działo się tak nagle, tak szybko. Jeden niespodziewany czyn, który wrócił do mnie z taką siłą, wystarczył, by stworzyć wyłom z tego piekła. Mogłem uciec, zabrać brata i wreszcie odpocząć. Z dala od długów, z dala od wierzycieli, z dala od władz.

Deszcz przestał padać. Krople zatrzymały się w powietrzu. Poczułem, że serce Matiego przestaje bić, a on sam stoi w całkowitym bezruchu. Świat zamarł na moment i zaczął wyłączać wszystkie procesy.

\* \* \*

Otwieram oczy, komputer soczewkowy przestaje narzucać obraz na siatkówkę oka.

Stoję na balustradzie w strugach oleistego deszczu. Przede mną świeci ogromny, błyszczący zielenią billboard, za którym ciągnie się kaskada identycznych bloków o setkach pięter. Reklama przerywa działanie aplikacji śledzącej poziom zatrucia organizmu spalinami. Symulator soczewkowy prosi o ocenę doświadczenia i opinię konsumencką.

To jest przyszłość, na jaką nas skazali.

Nie ma strzelanin, wybuchów, pościgów... Jest powolne kapanie deszczu, który zmywa złudzenia o prostych rozwiązaniach. Bo przyszłość nie przyniosła

prostych rozwiązań, tylko gadżety do odwrócenia uwagi od tego, co nie zostało naprawione wcześniej.

Ale ty tak bardzo chciałbyś w to wierzyć, prawda?

Ja też.

Skaczę.



## Dziękuję wszystkim moim patronom!

Jan Lutze	Kamila Ostrowska	Maciej Więckowski
Paul Troffke	Łukasz Kulwicki	Tobi Trojan
Rafał Krzyżanowski	Mikołaj Żelewski	Maria Mróz
Michał Misztal	Julia Osiecka	Mateusz Piórkowski
Kamil Szyłkiewicz	Piotr Abramik	Tobiasz Tomaszewski
Wirginia Jankowska	Iwona Pułanecka	Piotr Niedziałek
Wiktor Ordon	Jan Jaśkowiec	Julia Tomasiak
Marcin Ostoja-Hełczyński	Damian Adamczak	Marcel Szubartowski
Barry Lidders	Maddie11	Klaudia Tuszyńska
Michał Nowak	Anastazja Łomot	Kuba Mokrzycki
Adam Orlicki	Tomasz Ryczaj	Joanna Hereda
Anna Myszkiel	Jan Kubik	Wiktoria Słocińska
Salai	Jan Brzozowiec	Maciej Kośnik
Katarzyna Gabrysz	Przemysław Kwaśnik	Przemysław Szopa
Rafał Rogoziński	Filip Szyjakowski	Jakub Paciorkiewicz
Janek Buszkiewicz	Patryk Bernardelli	Dominik Pukos
Kacper Paczyński	Weronika Sroga	Kacper Kamieniarz
Michał Nowicki	Jakub Witczak	Julian Pawłowicz
Monika Zajązkowska	Albert Pasierowski	Adam Kozak
Dawid Furmanek	Zuzanna Żychowicz	Grzegorz Dombrowski
Paweł Gągała	Jędrzej Ziółkowski	Barbara Konopka
Sebastian Pasterniak	Szymon Walczak	Weronika Jaśkiewicz
Maciek Pernal	Wawrzyniec Sokołowski	Jakub Pierzak
Kamil Maciasz	Jacor Kracor	Jakub Rogala
Jędrzej Wawrzeń	Konrad Pindel	Jan Guzik
Marzena Sieprawska	Jakub Pietrek	Cyprian Perepeczo

Michał Lipski	Sebastian Frączyk	Weronika Matuszczyk
Mateusz Wyszynski	Ola Giedrojć	Patryk Frączek
Jacek Kloss	Maciej Musiał	Jacek Sproch
Marcin Gepner	Wiktoria Kaczmarczyk	Dariusz Gwizdak
Karol Szewczyk	Jan Bąk	Marta Kłapa
Kate Turwon	Katarzyna Marciniak	Wojciech Dąbek
Damian Bociek	Tymoteusz Całka	Miłosz Dunikowski
Ania Jędrowiak	Jakub Ahmed Witczak	Krzysztof Negacz
Ada Benio	Natalia Kowalska	Julia Podgórska
Filip Siuda	Rafał Gomola	Kacper Jaśkiewicz
Paulina Chodyra	Michał Dzierwa	Edmund Kukowski
Dawid Klose	Stroku	Damian Kurek
Dominik Kucharski	Jakub Cisło	Michał Orzołek
Kamil Sobczyk	Zuzanna Obajtek	Tomasz Kisiel
Mikołaj Stężycki-	Jakub Strugała	Jakub Hukiewicz
Wojtasiak	Ola Gościcka Kacza	Paweł Etmański
Jakub Sawicki	Daniel Styś	Maciej Knap
Przemek Piotrowski	Emilia Wyciślak	Mikołaj Roszczyk
Cezary Kubiński	Tomasz Pasterz	Stomolko Connor
Karol Kamiński	Bartosz Pachelski	Kazno De
Mikołaj Trawiński	Katarzyna Abyszkin	Łukasz Strzyżewski
Anna Dubec	Dominik "Tokar"	Dorota Dzikowska
Krzysztof Kwiatek	Tokarski	Kamil Adamczak
Julia Świerkot	Magdalena "Zir" Łysoń	Daria Sawicka
Mikołaj Matusiak	Anna Kołodziejek	Izabela Kajmowicz
Klementyna Święcicka	Piotr Żurkowski	Marta Niedźwiecka
Kordian Rogalski	Klaudia Dyczyńska	Maciej Chrobok
Eryk Kawecki	Konrad Stecko	Darek Mytych
Maria Kabala	Agred	Piotr Walasik
Oskar Archi Nowogórski	Wojciech Zych	Janek Kozak

Kacper Oleszak	Jakub Kloka	Jan Szczepaniak
Tymoteusz Tuttas	Grzegorz Wójcik	Bartosz Gruszczyk
Bartosz Chamera	Katarzyna Wysocka	Adrian "Tuńczyk"
Tymoteusz Zięciak	Mateusz Czernicki	Morski
Konrad Kowalczyk	Monika Brzyska	Grzegorz Samson
Michał Raczek	Magda Pakuła	Krzysztof Szostak
Piotr Wiśniewski	Robert Wasielewski	Karolina Szyłkiewicz
Dawid Owczarz	Piotr Gramiak	Mateusz Nowacki
Stanisław Lem	Aleksandra Stec	Robert Solski
Arkadiusz Kostuniak	Paulina Kozak	Lona Wu
Karol Zaborowski	Marcin Walkowiak	Maks Joniec
Tomek Napierała	Michał Dolinowski	Michał Mierzyński
Piotr Ponewczyński	Wiktor Godlewski	Kuba Malicki
Łukasz Biernat	Leszek Wroński	Tash Lisiecki
Jakub Czarkowski	Mateusz Kuźniak	Kris Vian Karczesmkie